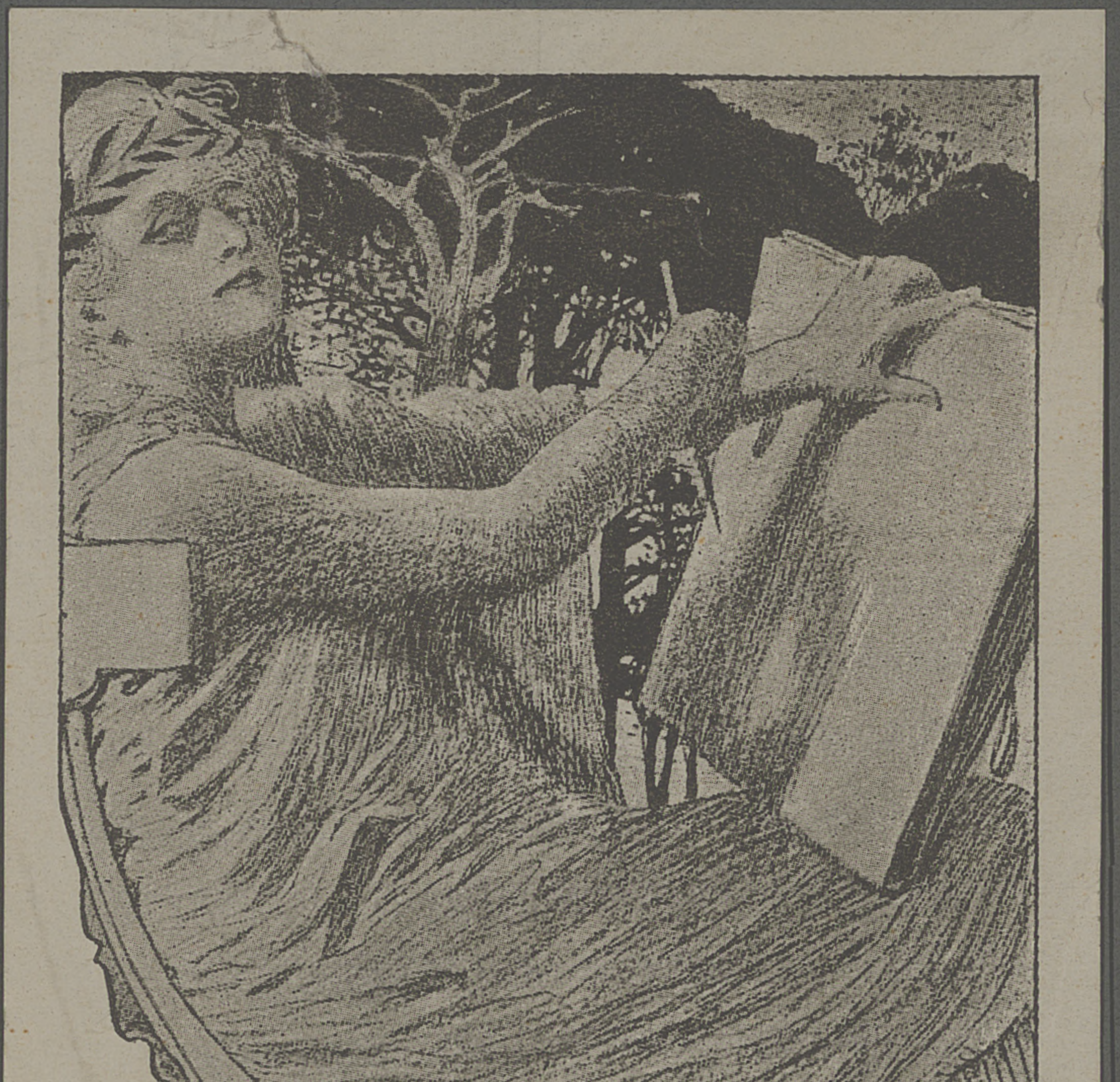
TYGODNIK POLSKI

PISMO POŚWIĘCONE POLITYCE NARODOWEJ, ŻYCIU SPOŁECZNEMU I EKONOMICZNEMU, LITERATURZE I SZTUCE



ZESZYT 15.

TREŚĆ NUMERU:

TREŚĆ NUMERU:

= PISMO POŚWIĘCONE POLITYCE, ŻYCIU SPOŁECZNEMU I EKONOMICZNEMU, SZTUCE I LITERATURZE. = WYCHODZI WE LWOWIE KAŻDEJ SOBOTY RANO. = PRZEDPŁATA WYNOSI (BEZ PRZESYŁKI) ĆWIERĆROCZNIE 5 KOR. * PÓŁROCZNIE 9 KOR. * ROCZNIE 17 KOR. * Z PRZESYŁKĄ POCZT.) ĆWIERĆROCZNIE 6 KOR. * PÓŁROCZNIE 10 KOR. * ROCZNIE 19 KOR.
EGZEMPLARZ 60 HAL.

TYGODNIK POLSKI

Zeszyt 15.

= PISMO POŚWIĘCONE POLITYCE, ŻYCIU SPOŁECZNEMU I EKONOMICZNEMU, SZTUCE I LITERATURZE. = WYCHODZI WE LWOWIE KAŻDEJ SOBOTY RANO. = PRZEDPŁATA WYNOSI (BEZ PRZESYŁKI) ĆWIERĆROCZNIE 5 KOR. * PÓŁROCZNIE 9 KOR. * ROCZNIE 17 KOR. * Z PRZESYŁKĄ POCZT.) ĆWIERĆROCZNIE 6 KOR. * PÓŁROCZNIE 10 KOR. * ROCZNIE 19 KOR. EGZEMPLARZ 60 HAL.

TYGODNIK POLSKI

ADRES: LWÓW, UL. KORALNICKA L. 2. We Lwowie, 24 października 1903. ROK I. № 15.

Redaktor i wydawca: FELIKS MRAWINCZYC.

Redakcya dla spraw politycznych i społecznych pod kierownictwem: **Władysława Studnickiego.**

Nowych ludzi plemię.

„Przyjdzie nowych ludzi plemię,
Jakich jeszcze nie widzano,
Do tej Polski nieśmiertelnej
Mimo działów niepodzielnej“.
Z. KRASIŃSKI.

Spełniło się proroctwo Krasińskiego przychodzi do nas nowych ludzi plemię, jakich jeszcze nie widziano u nas. Oni są przejawem niepodzielności Polski, nazywają więc ich wszechpolakami, gdyż są negacyą zaborów, negacyą tego prowincyonalizmu, który wzmożony przez oddziaływanie na nasze dzielnice trzech różnych mocarstw, coraz bardziej się pogłębiał, wyrabiając odmienne typy psychiczne, kalecząc w różny sposób bogatą polską naturę. Oni nie kwilą nad tem, że świat „sto lat już tańczy na naszym pogrzebie“, bo czują, że jesteśmy narodem żywym; i nie narzekają na „cyniczny świat siły“, bo wiedzą, że i my nie bez sił, że siły nasze dadzą się pomnożyć, że siła jest prawa rodzicielką.

Skąd wzięli się ci ludzie, przedstawiciele naszej ekspanzyi, oni, co przyszli po pokoleniu rezygnacyi narodowej? oni, co wchodzą w życie nasze społeczne wówczas, gdy rej u nas wodzą ci, co w 1863 r. chowali się w mysie nory, a potem wyszli, aby obwieścić tryumf tchórzostwa.

Skąd mogło wziąć się u nas męskie plemię, skoro u nas historya od stu lat gotowała los okrutny naturom męskim, gubiła odważnych, jakby na to, aby tchórzostwo mogło się u nas rozpanoszyć, razem z uległością dla Moskali, czy Niemców, czy Syonistów, czy Rusinów.

Przeszło to nowych ludzi plemię, którego męskość zardzewiała od łez sączących się po ofiarach 1863, a spokój myślenia przerywały jęki, dolatujące z Litwy i Królestwa i z tajg syberyjskich, przynoszonych z wiatrem północnym. Jest ono reakcyą przeciw pokoleniu tchórzliwych, pokoleniu sentymentalnych, przeciw pokoleniu jakby podłych, gdyż wodzonych przez podłych. Plemię to znajduje jednak swój rodowód w tradycyach naszych. Staszyc, Kołłątaj, Dąbrowski i inni, „którzy niczego tak nie pragnęli jak tego, aby naród (polski) był silny i poważany“, którzy wytwarzali państwowość polską wśród w gruzy upadającej, a nawet już zniweczonej Rzeczypospolitej — to duchy pokrewne naszemu pokoleniu.

Tak energia, która wcieliła się w wielkiej francuskiej rewolucyi i od niej promieniowała na wsze strony, była pierwiarstkiem siły pokolenia budowniczych państwowości Polski po katastrofie rozbiorów, tak energia walki, która przejawiła się w socyalizmie współczesnym, w walce klasowej, przeobraziła się w energię walki narodowej i stała się czynnikiem siły „nowych ludzi plemienia“, które weszli u nas do życia społecznego z hasłem: wszechpolskości, państwowości Polski z poczuciem siły i nie zawahania, się rozdeptania wszystkiego, co stanie drodze naszemu rozwojowi, lub bruździć będzie na terenie naszej państwowości.

Zrodziło się politycznie to plemię podczas demonstracyi warszawskich z 1891 i 1894.

Obchód pamiątki tego, co mogłoby wzmocnić naszą państwowość— konstytucyi 3-go maja, — oraz obchód oczyszczenia Warszawy od Moskali — zwiastowały narodziny polityczne tych, którzy urabiali to nowych ludzi plemię. Wytwarzanie świadomości narodowej wśród ludu w Królestwie, rozszerzenie idei państwowości polskiej wśród inteligencyi — oto działalność ludzi, będących zarodkiem nowej politycznej u nas formacyi.

Formacya ta urabia się i wytwarza u nas w Galicyi w ogniu walki i walki o polskość Galicyi i o jej prawnopaństwowy samorząd. Szereg ludzi, którzy już zaznaczyli się wybitnie na polu polityki, nauki lub literatury, urabiają program, wytwarzają podkład duchowy tej formacyi. Nie są oni samotni w społeczeństwie, bo rezerwą ich jest trzy czwarte polskiej młodzieży, z tej rezerwy w miarę kończenia studyów rok rocznie wychodzą ludzie na pole czynu, na pole szerszej działalności społecznej. Nie socyalna demokracya, nie ludowcy, nie t. zw. demokraci galicyjskiego autoramentu, nie stańczycy posiadają najznaczniejszą rezerwę wśród młodzieży, — nie te grupy posiadają najzdolniejszą młodzież, a kierunek wszechpolski.

Kierunek ten nie krępuje swej młodzieży dogmatyzmem przeżytych doktryn, jak socyalna demokracya; nie zużywa jej siły na bezcelowe rozpolitykowanie, jak ta partya lub ludowcy. Młodzież jednak tego kierunku nie tylko umie pracować naukowo, ale umie bronić praw narodowych. Ona to stanęła energicznie przed dwoma laty w obronie polskości uniwersytetu lwowskiego i odbiła pierwszy zamach na ten uniwersytet ze strony ruskiej młodzieży, której sekundował arcybiskup grecko-katolicki Szeptycki razem z archirejem Chełmskim (ten ostatni posyłał pieniądze na strajkujących studentów ruskich).

Ona zapowiedziała przed dwoma laty, że będzie energicznie broniła wszechnicy lwowskiej i przyrzeczenie to spełniła. Dzień 17-go października — to pamiętny dzień, to przejaw energii czynu naszej młodzieży. Młodzież polska, która zakazała wstępu do uniwersytetu studentom ruskim, żądając od nich satysfakcyi za zamącenie spokoju na uniwersytecie, potrafi za lat niewiele na krzesłach poselskich, oraz na innych posterunkach nakazać posza-

nowanie dla polskości i we Wiedniu i w kraju. Ona nie będzie kupowała ustępstwami, oddawaniem pozycyi dla Rusinów — spokoju w kraju, jak to czynili Badeniowi et comp.

Bierze nas... lęk jednak czasem gdy się pomyśli, że poprzednie pokolenie, gdzie rej wodzą tchórze, którzy 1863 r. chowali się w mysie dziury, toleruje różnych odmieńców, aby to pokolenie, obawiające się każdego wiatru z Wiednia, każdego okrzyku popów i popowiczów, tyle przez swą małoduszność z naszych praw tu w Galicyi nie zrezygnowało, że postawi pokolenie, będące „nowych ludzi plemieniem“, w położenie ciężkie, w borykanie się ku zdobyciu utraconego stanu posiadania. Przemówienie namiestnika Potockiego w języku ruskim w sejmie, zamach namiestnictwa na prawa języka polskiego w magistracie, zabiegi St. hr. Badeniego o gimnazyum Stanisławowskie — mogłyby wznieść poważne obawy.

Ale nie. Dziś już nie jest to, co było wczoraj. W dniu 18-go października Koło sejmowe polskie odrzuciło wbrew presyi Wiednia i agitacyi St. hr. Badeniego i spółki gimnazyum ruskie w Stanisławowie. Nie samo jeszcze odrzucenie ma doniosłość, ale motywy, że się odrzuca, gdyż rząd centralny wstawił w budżet pozycyę gimnazyum ruskiego w Stanisławowie bez uchwały sejmu. Nasi politycy wyrastają na mężów. Jest to wpływ tego, że przychodzi nowych ludzi plemię.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Marazm opanował starą monarchią austryjacką. Jeden krok wprzód, jeden w tył — oto bieg życia politycznego w Austryi. Było tak dawniej, było tak zwykle, — staje się chorobliwie rażącem w ostatnich kilku latach. Pod znakiem obstrukcyi odbywa się życie polityczne Austryi od lat kilku. Stała się obstrukcya polityczna niezbędną możliwością jej parlamentu, przeobrażającą się od czasu do czasu w konieczność dla Czechów lub Niemców, stąd ani Czesi, ani Niemcy, nie usuną jej z repertuaru parlamentarnego. Niemcy radziby przenieść obstrukcyę do Sejmu w Czechach, aby wykazać, że życie polityczne sejmów nie może odbywać się prawidłowo, że sejmy nie są zdolne przyjąć spuściznę prawodawczą po parlamencie, jak tego pragną autonomiści i federaliści w Austryi.

Tam jednak, gdzie jest jednolita i stała większość i mniejszość, można zawsze odpowiednim regulaminem usunąć obstrukcyę. Przeniesienie niemal w całości władzy prawodawczej na sejmy przy komusacyi krajów austryjackich mogłoby być rozwiązaniem kryzysu austryjaskiego.

Jeżeliby jednak i parlament i sejmy zarówno niezdolne były do prawidłowej akcyi prawodawczej, jeżeliby więc tak centralistyczna, jak i federalistyczna Austrya była niemożliwa, wówczas Austrya staje się tym chorym, po którego spuściznę będą sięgali sąsiedzi.

Szczęściem dla Austryi, szczęściem lub nieszczęściem dla wielu jej ludów, sąsiedzi mają tyle sprzecznych interesów, tylu antagonistów na różnych frontach, że nie zabierają się do działu owej spuścizny austryjackiej. Niebrak jednak apetytów. „Wiemy, że Galicya jest ziemią tak odwiecznie rosyjską, jak Kijew, Riazań, Tambow, że mieszka tam lud mówiący z nami jednym językiem, jednego wyznania“— pisze felietonista Nowego Wremieni, ale w dalszym ciągu zwraca uwagę na to, że Rosya potrzebuje wziąć udział w rozbiorze Azyi, że gdyby Chiny były rosyjskiemi, jak są Indye angielskiemi, wówczas niczego nie potrzebowałaby obawiać się Rosya. Słuszną uwagę czyni felietonista Nowego Wremienia, że Polska upadła wskutek braku ekspansyi, że gdyby jej królowie prowadzili politykę rosyjskich zbieraczy ziem, Polska rozpościerałaby się tam, gdzie zanikli. Słowianie połabscy — Czechów, Słowian węgierskich i wiele różnych ludów przetworzyłaby w naród polski.

Rosya jest i musi być ekspanzywną. Nie rezygnuje ona z knowań na zachodzie, prowadząc akcyę na Wschodzie. Niedawno Nowoje Wremia, ubolewając nad losem ks. Stojałowskiego, który ma tyle przykrości za swe moskalofilstwo, pisała o potrzebie posiadania w Krakowie i Poznaniu tajemnych rezydentów, do których dobrze usposobieni względem Rosyi Polacy mogliby się zwracać po rady i na narady. Czem jest wywołaną obecna bezwzględna polityka rusyfikacyjna Rosyi we Finlandyi? Ekspanzyą Rosyi, jej dążnością do otwartego morza w Atlantyku, zamiarami zaborczemi, na Szwecyę i Norwegię, zmuszającemi te państwa do reorganizacyi sił militarnych, do budowy nowych fortów. W ubiegłym tygodniu, pod przewodnictwem króla Szwecyi i Norwegii, obradowały sztaby generalne tych państw w sprawie zabezpieczenia granic od Rosyi.

Ekspanzya Niemiec prze ich do zajmywania posterunków w Azyi tak w Kiao-Czau na dalekim Wschodzie jak i w Małej Azyi w okolicach kolei Bagdackiej. Ekspanzya Niemiec prze ich do polityki antipolskiej; jest to dążność do zasymilowania ziem zaboru pruskiego dla dalszych zdobyczy na Wschodzie.

Czy Austrya posiada ekspanzyę na zewnątrz? Zbieraczami ziem, zagarniającymi wszystko, co łatwo zagarnąć się dawało, byli Habsburgowie. Józef II. zamyślał zaborczości w imię ekspanzyi Niemców, stąd też pochodzą jego plany kolonizacyjne na Węgrzech i w Galicyi, jego wyrzeczenie się Belgii i dążność do zaboru choć części Bawaryi. Ekspanzya Niemców przestała być czynnikiem zaborów w Austryi od chwili, gdy Austrya została wykluczoną ze związku niemieckiego.

Politycy polscy, jak n. p. Ziemiałkowski, pragnęli połączyć sprawę polską z ekspanzyą austryacką, dawszy jej podkład w naszych narodowych interesach, naszej narodowej ekspanzyi. Stąd politycy polscy chcieli skierować ekspanzyę Austryi na północny Wschód, byli przeciwnikami polityki bałkańskiej w Austryi. Na tem stanowisku stali tak prezes Koła polskiego Grocholski, jak i secesyoniści z koła. Nie cele polityki narodowej, ale środki i bezwzględność w realizacyi tych celów dzieliła opozycyę polską w Kole polskiem od większości Koła. Nabytek Bośnii nie był wynikiem ekspanzyi żadnego z narodów Austro-Węgier, ale zapłatą za bezczynność Austryi w czasie wojny tureckiej, nagrodą za jej nieudolność do czynu.

Zabrawszy Bośnię, Austrya nie umiała jej zasymilować, stworzyć sobie naturalną podporę w tym kraju przez kolonizacyę. Dziś niektórzy politycy austryjaccy majaczą o starej Serbii, o Salonikach, drugiem oknie w Adryatyku. Ale nie ma w Austryi realnych interesów, któreby ją parły w tym kierunku.

Stąd polityka bałkańska Austryi cierpi na marazm; nie może ona wykorzystać tego, iż Rosya jest ubezwładnioną sprawą Wschodnio-azyatycką, gdyż spotyka na Bałkanach konkurenta we Włochach, konkurenta tem niebezpieczniejszego, bo będącego ciałem atrakcyjnem dla kresów południowych Austryi.

W ciągu ubiegłego tygodnia odbywały się demonstracye włoskie w Tryjeście, manifestujące z powodu zbliżenia się Włoch i Francyi.

Ekspanzya Austryi w kierunku ziem polskich, pozostających pod jarzmem Rosyi, neutralizuje się niechęcią do nas stolicy państwa, tak centralnej biurokracyi, jak i ludności Wiednia; neutralizuje się nieudolnością współczesnych kierowników Koła polskiego, usiłujących wyka-

zać, że naród nasz już „zmądrzał“, wyrzekł się ekspanzyi, dążności do pełnego, niepodległego życia, — neutralizuje się ostatecznie marazmem, który ogarnął Austryę. Wobec braku ekspanzyi ze strony Austryi, zwłaszcza w kierunku dla nas pożądanym, nasza dawna dbałość o państwowe, mocarstwowe stanowisko Austryi nie ma obecnie żadnej racyi.

Pozostaje nam tylko oprzeć się na własnej ekspanzyi. Ekspanzya Czechów i Niemców bije taranem w państwowość austryjacką; nasza ekspanzya, działając w tym samym kierunku, musi stworzyć państwowy ośrodek dla narodu polskiego przez odrębność prawno państwową Galicyi.

Obrona Wszechnicy.

Gdy dnia 16. b. m. rozniosła się po Lwowie w osobnych dodatkach „Słowa Polskiego“ a przedewszystkiem w ożywionych, podnieconych rozmowach wieść o zuchwałej napaści akademików ruskich na rektora Wszechnicy lwowskiej, ks. dr. Jana Fjałka, wieść budząca wszędzie ogromne wzburzenie, pytano się powszechnie z niemałem zdziwieniem: a cóż dalej? a gdzież polska młodzież? – Pytano się nie tylko ze zdziwieniem, ale nawet z pewnym żalem.

Lecz d. 17. października w porannych dziennikach, a równocześnie na murach gmachu uniwersyteckiego ukazała się odezwa przewodniczącego Czytelni akademickiej, p. Edwarda Dubanowicza, przedstawiciela ogółu polskiej młodzieży akademickiej, której słowa ostatnie brzmiały: „polska młodzież akademicka, pragnąc zarazem uniemożliwić dalsze grożące gwałty wewnątrz gmachu i zamknięcie Uniwersytetu, nie wpuści nań ani jednego akademika-Rusina.

I w istocie w ową pamiętną sobotę dnia 17. października stanął w korytarzu i na schodach żywy mur polskiej młodzieży, wybiegający zbitą gromadką przed bramę uniwersytecką. Od 7 liczba zgromadzonych ciągle rosła, a gdy koło godz. 8-mej ukazał się ks. Rektor, powitany u wstępu przemówieniem p. Dubanowicza, szedł on już długim ciągnącym się jeszcze w korytarzach pierwszego piętra szpalerem wśród nie milknących okrzyków owacyjnych: Niech żyje!

Tymczasem zaś odesłano już niejednego akademika-Rusina z pod bramy do przybitych opodal odezw. które mu wyjaśniały sytuacyę. Po godz. 8 ukazał się z poza rogu ulicy Koralnickiej długi dwuszereg przeszło 300 teologów ruskich.

Gdy stanęli przed bramą, przeczytał im jeden z akademików polskich odezwę. Ustąpili się z pod bramy, przystanęli opodal, podumali kilkanaście minut, zawrócili i poszli do domu.

Z Rektoratu przyszło wezwanie, by dwaj akademicy stawili się. Ks. Rektor i sekretarz zwrócili uwagę, że akcya akademików polskich jest nielegalna, zażądali, by jej zaprzestać. Gdy jednak akademicy strzegli wejścia w dalszym ciągu, zawieszono ogłoszenie:

„Dziś wykładów nie będzie. X. Fijałek. Rektor“.

Młodzież polska stanęła wobec faktu, że akcya jej grozi tem, czego właśnie pragnęła ona uniknąć, zamknięciem wykładów. Wtedy ukazała się druga odezwa:

„Lwów, d. 18. października 1903 r.

Wczorajszem wzbronieniem wstępu na Wszechnicę zostali wprawdzie ukarani sprawcy i zwolennicy demonstracyi, którymi bądź to pozytywnie przez złożenie nazwisk, bądźto negatywnie przez zaniechanie protestu okazał się ogół akademików ruskich, ale zarazem stało się to, czemu właśnie chcieliśmy zapobiedz: przerwa w wykładach.

Wobec tego przenosi młodzież polska obronę Wszechnicy na wewnątrz gmachu. Wszyscy koledzy-akademicy Polacy stawią się jutro na wykładach, a obronę osobną zorganizują przy zagrożonych specyalnie katedrach.

Uchwałę zbiorową poweźmie jutrzejszy wiec.

Za polską młodzież akademicką:

Edward Dubanowicz“.

Wiec ogólno-akademicki rozpoczął się o godz. 7 w poniedziałek dnia 19. b. m. w sali „Gwiazdy“. Przy zaczęciu obrad znajdowało się na sali koło 1000 akademików. — Przewodniczącym obrano p. Edwarda Dubanowicza, zastępcami p. Przemysława Mączewskiego i p. Stanisława Sokołowskiego.

Pierwszy przemawiał referent p. Przemysław Mączewski. Nawiązał ostatnie zajścia do akcyi ruskich akademików z r. 1901, której istotnym celem była utrakwizacya lwowskiej wszechnicy. Krok dzisiejszy jest tylko konsekwentnym dalszym ciągiem ich zasadniczych dążeń. To też z tego stanowiska wychodząc, widzi referent w samym brutalnym akcie demonstracyi tylko objaw podrzędny, zewnętrzną li tylko formę tej zasadniczej dążności. Nie uczuciem oburzenia, nie nerwami zatem w tej sprawie należy się rządzić, lecz logicznej akcyi przeciwników, również konsekwentną, męską a spokojną i wytrwałą obronę przeciwstawić trzeba. Rezolucya młodzieży polskiej z przed dwóch lat kończyła się zapowiedzią, że „dalszych, zapowiedzianych ataków nie ścierpi“.

W myśl tej zapowiedzi nastąpiła okupacya uniwersytetu w sobotę, w myśl tej zapowiedzi i zasady należy jak najenergiczniej zapobiegać dalszym ekscesom. Obronie uniwersytetu polskiego winna towarzyszyć dążność pozytywna: wzmocnienie polskości wszechnicy, kreowanie nowych katedr, wzmocnienie pracy naukowej i. t p. W nominacyi prof. Chmielowskiego widzi mowca jakby widomy znak i początek tej akcyi. Atak Rusinów z przed dwóch lat, otworzył nam oczy na własne braki i potrzeby; wtedy to podjęto hasło drugiej katedry literatury polskiej. Dziś atak drugi — druga katedra uzyskana. W tej podwójnej metodzie negatywnej i pozytywnej streszcza się cel naszych starań.

Przemówienie swe zakończył p. Mączewski następującą rezolucyę:

I. „Napaść akademików ruskich na rektora naszej wszechnicy jest przedewszystkiem zuchwałem rzuceniem się Rusinów na polski charakter i polskie prawa wszechnicy lwowskiej.

„Młodzież polska składa rektorowi, napadniętemu za obywatelskie strzeżenie naszych praw, wyrazy najgłębszego uznania.

„Wobec konsekwentnych zaborczych zamachów ruskich, których nowym tylko wyrazem jest ta napaść — młodzież polska kroczy konsekwentnie drogą wytkniętą w r. 1901 i wyrażając zbiorowe uznanie dla pierwszego doraźnego aktu niewpuszczenia Rusinów do gmachu uniwersyteckiego dnia 17. października r. 1903 przez polskich słuchaczów wszechnicy — zobowiązuje się czuwać codziennie nad spokojem około katedr polskiej szkoły i poleca prezydyum wiecu organizowanie obrony katedr szczególnie zagrożonych“.

Pierwszym mowcą strony przeciwnej, obozu socyalistów i ludowców, był p. Bohdan Mączewski. — Słuchano go z pewną pobłażliwą wyrozumiałością i bez wielkich nadziei, ponieważ było to jego przemówienie dziewicze w sprawach związanych z życiem politycznem. Rzeczywiście, ani rusz!... Wykazano mu najzupełniejszą ignorancyę w sprawach — o których mówił. Tu powołuje się na rezolucye z r. 1901, a gdy mu je przedkładają, szuka z wzrastającem zakłopotaniem tego, o czem mówił i ku niemałemu powstydzeniu swemu biedaczek nie znajduje;

tam znowu powołuje się na fakta inne, a na drugi dzień okazuje się sprostowanie i besztanie ze strony prof. Nusbauma... i t. d. Za to jest jednak p. Bohdan Mączewski wielce szczodry, niezmiernie hojny... na rachunek miłej Ojczyzny. Odstępuje narodowi ruskiemu „na uniwersytecie lwowskim pewną sumę praw narodowościowych“. Ale p. Bohdan Hojny jest właśnie w takiej samej sytuacyi gdy ofiaruje Rusinom Uniwersytet lwowski, jak znacznie dowcipniejszy od niego Zagłoba, gdy ofiarował królowi szwedzkiemu... Niederlandy.

Na stanowisku rezolucyi p. Przemysława Mączewskiego staje p. Stanisław S t r o ń s k i. Mylą się ci, którzy sądzą, że występujemy przeciw gwałtowi Rusinów za jego niekulturalność. Mylą się ci, którzy sądzą, że występujemy przeciw jego nielegalności. Chodzi nam o to przedewszystkiem, że jest on jednym ze środków konsekwentnej akcyi Rusinów, którzy wywołują niepokoje, aby skłonić rząd do przyznania im ustępstw na Uniwersytecie lwowskim. Nie o prawną lub moralną kwestyę tu chodzi, ale o nasz interes narodowy, w który godzi akcya ruska. Odpowiedzialność spada na ogół akademików ruskich, ponieważ napaść ta jest wynikiem uchwały wiecu ruskiego z 10. lipca b. r. i protestu z dnia 9. października b. r.; zresztą 160 Rusinów zgłosiło swe solidaryzowanie się z demonstracyą, a reszta nie protestowała. — Podnoszą się głosy, że młodzież polska posunęła się za daleko, nie dopuszczając Rusinów do gmachu Wszechnicy. Jedni twierdzą, że postępowanie to było „bezprawiem“, było nielegalne; ci, jak np. p. Bohdan Mączewski, wkraczając w funkcyę prokuratora. Inni powołują się na to, że cała prasa wystąpiła przeciw temu; zapominają, że różne czynniki w społeczeństwie różną rolę pełnią w podobnych wypadkach. — Prasa działa uspokajająco, senat jako władza grozi nawet pociągnięciem do odpowiedzialności, a jednak dziwić się nie można, że młodzież mimo to wszystko reaguje żywiołowo. Jest to objaw zdrowy, godny uznania powszechnego. Czyż Rusini mogli popełnić coś gorszego jeszcze? Więc młodzież polska, występując najenergiczniej, dowiodła tylko, że w żyłach jej płynie krew. — Ale młodzież rozumie swe zadanie na Uniwersytecie. Rozumie, że zamknięcie wykładów leży w interesie Rusinów, a nie w interesie naszym. Byłby to terror niesłychany, gdyby ruska garstka zdołała doprowadzić do przerwania nauki na polskiej Wszechnicy w każdej chwili, gdy tylko zechce. Dlatego też, gdy groziło zamknięcie wykładów, — przenieśliśmy obronę Uniwersytetu na zewnątrz gmachu, wpuszczając Rusinów. Gdy ogół Polaków walczy z ogółem Rusinów to nie znaczy to jednak, by nie możliwe były osobiste wzajemne stosunki. — Między pracującym na jednej ławie Rusinem a Polakiem wywiązać się może przyjaźń. Żaden wiec nie ma prawa nakazać, by zerwano te stosunki osobiste.

Walka na uniwersytecie jest tylko jednym epizodem walki, którą Rusini wypowiedzieli Polakom na wszystkich polach. Dążą oni zupełnie otwarcie do wyparcia Polski z Galicyi wschodniej. Dążą zatem do zamienienia wszelkich instytucyj polskich na ruskie. Czy mają prawo do tego? Przypatrzmy się stosunkom na uniwersytecie w świetle cyfr. Polaków jest 1,756, Rusinów 637; gdy wyłączymy teologię, pozostaje na wydziałach świeckich Polaków 1,660, Rusinów 366. To znaczy procentowo: Polaków 81.3 prc. Rusinów 17.9 prc. Ale jest inna okoliczność ważniejsza. Stosunek liczbowy zmienia się z roku na rok na korzyść Polaków. Procent przyrostu Polaków w ostatniem dziesięcioleciu (od r. 1893) wynosi 92, Rusinów 50. Liczba Polaków w tym czasie wzrosła o 848, Rusinów 213; to znaczy, że przyrost bezwzględny jest po stronie polskiej 4 razy większy. Tak się przedstawiają potrzeby naukowe ruskie. Jeszcze marniej ich siły naukowe. Dzisiaj istnieje tylko jeden docent ruski, który nie ma katedry; ale to dlatego tylko, że katedrę tego samego przedmiotu z językiem wykładowym ruskim już zajmuje kto inny. To znaczy, że wszelkie pretensye Rusinów pozbawione są podstawy, bo nikt na nową ruską katedrę nie czeka. Tak jak na uniwersytecie przedstawiają się prawa ruskie i na innych polach. A jednak, podobnie jak dążą do zamienienia polskiego uniwersytetu na ruski, tak też dążą do zniszczenia polskości w Galicyi wschodniej wszędzie. Nie znają ustępstw z tego stanowiska, którego wyrazem jest żądanie podziału Galicyi: wschodnia ma być ruską, choć jest tam półtora miliona Polaków.

Jak się wobec tego zachowują Polacy? Ogół społeczeństwa już zrozumiał, że, gdy ze strony ruskiej niema mowy o ustępstwach, to nie można o nich myśleć i z naszej strony. Bo społeczeństwo nie wyrzeknie się tej ziemi, w którą wsiąkło tyle krwi polskiej, na której tak wydatnie rozwinęła się praca kulturalna polska. Ale wbrew społeczeństwu powstaje polityka „familij“, polityka możnych rodów, które stanęły u steru kraju. Nie liczy się ona z poczuciem ogółu polskiego. Przeciw niej trzeba wystąpić. A przedewszystkiem wystąpić się musi przeciw stanowisku rządu wiedeńskiego w sprawie ruskiej. Rząd daje Rusinom obietnice, które przewyższają ich prawa i ich siły, a przez to utrwala ich w zaborczem stanowisku względem polskości. W myśl tych wywodów przedkłada mowca rezolucyę:

II. „Akcya akademików ruskich na polskim Uniwersytecie lwowskim jest tylko częścią ogólnej eksterminacyjnej dążności obecnej ruskiej polityki do zupełnego wyparcia Polski z t. zw. Galicyi wschodniej, dążności nie znającej ustępstw.

„Wobec tego zastrzega się młodzież przed ustępczą polityką niektórych czynników polskich, których zadaniem jest nadto czuwać i w sprawie uniwersyteckiej, aby obietnice rządu, przenoszące dzisiejsze uniwersyteckie potrzeby i siły ruskie, nie utrwalały Rusinów w ich zaborczych zamachach“.

W dalszej dyskusyi stanęli na gruncie rezolucyj p. Mączewskiego i Strońskiego p. K o l a n k o w s k i, p. W i e r z b i c k i i inni, wyświetlając coraz dokładniej stosunek nasz do Rusinów.

Ze strony przeciwnej wywołał żywszą dyskusyę wniosek p. K a c h n i k i e w i c z a, który postawił rezolucyę: „Oddanie sprawy relegowanych akad. Rusinów prokuratoryi, jak również wprowadzenie policyi do uniwersytetu uważamy za pogwałcenie praw akademickich i oświadczamy, że przeciw dalszemu takiemu postępowaniu senatu użyjemy jak najenergiczniejszych środków“. Większość głosowała przeciw temu wnioskowi. Wtedy poczęli wykrzykiwać przeciwnicy, że większość ta idzie wespół z policyą. Jak się jednak sprawa ta przedstawia faktycznie, wyjaśnia następujące oświadczenie zamieszczone w „Słowie Polskiem“:

„Jako referent generalny rezolucyi, przyjętej znaczną większością głosów na wczorajszym wiecu ogólno-akademickim młodzieży polskiej, poczuwam się do obowiązku publicznego napiętnowania postępku p. Stanisława Kachnikiewicza.

„P. Stanisław Kachnikiewicz przedstawił rezolucyę, której część pierwsza występuje przeciw senatowi za „oddanie sprawy relegowanych akademików Rusinów prokuratoryi“, część druga zaś przeciw „wprowadzeniu policyi na uniwersytet“. Jeden z kolegów prawników wykazywał, powołując się na odnośny paragraf ustawy, że nie senat oddawał sprawę prokuratoryi, lecz że prokuratorya wkroczyła sama.

„Na tej podstawie musiałem wczoraj, jako referent, wstrzymać swój

sąd o pierwszej części. Dziś natomiast, upewniwszy się stanowczo w sekretaryacie uniwersytetu, iż rzeczywiście nie senat, lecz sama prokuratorya wkroczyła — nie wstrzymuję się jak wczoraj, lecz sprzeciwiam się pierwszej części rezolucyi p. Kachnikiewicza.

Co do części drugiej wniosku p. Kachnikiewicza, już wczoraj byłem za jej uchwaleniem i nadal to też podtrzymuję.

Z tego powodu zwróciłem się wczoraj na wiecu do p. Kachnikiewicza z gorącą prośbą, by oddzielił tę część rezolucyi, za którą z powodu niewyjaśnionej sprawy głosować nie chcieliśmy. Prośba moja nie odniosła żadnego skutku i wnet okazało się, dlaczego. Po odrzuceniu przez nas wniosku p. Kachnikiewicza, na którego podzielenie on się nie zgodził, a którego nie mogliśmy w całości uchwalać, zarzuciła nam strona przeciwną wraz z panem Kachnikiewiczem, że działamy wespół z bagnetami austryackiej policyi.

Za to wyzyskanie formalnych praw, przysługujących wnioskodawcy, za to tendencyjne zatamowanie głosu sumienia — mego i mej rezolucyi zwolenników, za to niedopuszczenie wyrazu prawdy -- postępek pana Stanisława Kachnikiewicza piętnuję". Dnia 20 października 1903. Przemysław Mączewski, Lwów, ul. Długosza l. 35.

Gdy dodamy jeszcze inną notatkę „Słowa Polskiego", przekonamy się, że zarzuty przeciw senatowi były tendencyjne przesadzone. „Słowo" pisze:

„Wprowadzenie policyi na uniwersytet lwowski wywołuje zaniepokojenie w opinii publicznej, wobec tego uważamy za potrzebne wyjaśnić, jakie mniej lub więcej sprawdzone fakty dały powód do użycia terminu „wprowadzenia policyi". Oto d. 17 października w czasie „blokady" Uniwersytetu miał się zgłosić po informacye do kancelaryi uniwersyteckiej komisarz Wenz, a w poniedziałek zaś, d. 19 października miano zauważyć w korytarzu komisarza dra Reinländera w ubraniu cywilnem. W uniwersytecie naszym nie postała noga ani żołnierza, ani ajenta policyjnego".

Ostatecznie głosowało za rezolucyami p. p. Mączewskiego i Strońskiego 373, przeciw 168 akademików.

Olbrzymia większość 205 głosów wykazała, że młodzież polska pojmuje jasno i realnie swą rolę, że bez wahania podejmuje ciężkie a odpowiedzialne stanowisko obrońców swej szkoły. Oczywiście, że miejszość socyalistyczna i tz. postępowa, powołując się na ogólnoludzkie, mesyanistyczue, „naprzodowe", ba nawet syonistyczne racye — objawia jak zwykle przeciwne przekonanie. Niejeden z jej przedstawicieli zajmował wyraźne stanowisko ruskie. Była ta młodzież jednak konsekwentną. Inaczej „zorganizowani ludowcy". Ci jednak zawsze bez własnego zdania, bez decyzyi, brali z dwojga złego, lepsze — poszli na pasku socyalistów, z obawy, by niesforny „Kurjerek" nie dostał nowego klapsa od „niani" z „Naprzodu".

Ku uwadze St. hr. Badeniego.

Kazimierz hr. Badeni podał się do dymisyi, gdy zaznaczyło się, że jego rozporządzenia językowe okazały się nader niepopularnemi. Następnie cofnął swą dymisyę na życzenie korony. W kilka miesięcy potem musiał tego swego kroku bardzo żałować, padł bowiem wśród ogólnego wzburzenia we Wiedniu, padł, znienawidzony w Austryi, aby już nigdy nie zaznaczyć się w życiu politycznem.

St. hr. Badeni usiłował przeforsować gimnazyum Stanisławowskie; Koło sejmowe, jak jeden mąż, to odrzuciło, — opinia w kraju niedwuznacznie oświadczyła się przeciwko polityce ugodowej wobec Rusinów.

Czyż St. hr. Badeni nie potrafi wyciągnąć nauki z losu swego brata? Czyż będzie zwlekał z dymisyą, aż padnie zmieciony falą ogólnego wzburzenia, odepchnięty, znienawidzony przez społeczeństwo własne, na szkodę którego usiłuje on wzmocnić jego wrogów?

Andrzej Szeptycki.

Z dziwną pobłażliwością na odstępstwo od sprawy narodowej patrzono u nas w Galicyi. Każdy komu wygodnie było być Rusinem, ogłaszał się nim, stawał się bojownikiem sprawy ruskiej przeciwko nam, prowadził tradycyjne konszachty Rusinów z centralistami wiedeńskimi, a myśmy tolerowali w swym otoczeniu owych ludzi; nasi posłowie, nasza szlachta wysłuchiwała nawoływań odmieńców do przejścia na narodowość ruską. Zapominali u nas, że to wytwarza niezdrową pod względem politycznym atmosferę, że w tej to atmosferze wylęgiwać się mogą przy pewnych zewnętrznych warunkach Siemaszkowie.

Z radością więc witamy, jako zwrot ku zdrowym poglądom samozachowawczości narodowej, tę parę słów gorzkich, które pod adresem metropolity Szeptyckiego, dziś Rusina, wczoraj jeszcze Polaka, pisze korespondent „Słowa Polskiego" p. A.

Andrzej Szeptycki miał tych samych nauczycieli, co my, z tych samych uczył się książek, śpiewał razem z nami pieśni patryotyczne polskie, zachwycał się Mickiewiczem, był namiętniejszym wielbicielem Zygmunta Krasińskiego, aniżeli niejeden z nas. Jego otoczenie w pałacu ordynatowej Lubomirskiej, córki pana Andrzeja Zamoyskiego, na ulicy św. Jana w Krakowie, było czysto polskie. Polska dała mu wszystko, co mogła mu dać najlepszego: swoją kulturę, swoją wiedzę, odrazu wybitne stanowisko towarzyskie jako potomkowi rodu, zasłużonego w dziejach Rzeczypospolitej.

Spoglądaliśmy na Andrzeja Szeptyckiego z pewnem rozrzewnieniem jako na wnuka -- acz po kądzieli -- starego Aleksandra Fredry, który był takim polskim pisarzem w każdem słowie, jakie nakreślił na papierze. Wnuk autora „Zemsty za mur graniczny", wnuk twórcy tylu postaci, wykrojonych żywcem z duszy i ciała polskiego!

A dzisiaj ten Szeptycki jest odstępcą narodowym i jako metropolita ruski idzie w pierwszym szeregu tych, którzy łącznie z Moskwą i łącznie z Prusakami pomnażają nasze męczeństwo narodowe, chcąc wytępić nas ze szczętem, chcąc zagłuszyć samo imię Polski.

Smutna to, wręcz tragiczna zmiana w człowieku, który się chyba rumieni, ile razy myśli o swej młodości! Niepodobna mnie, koledze wspominać o tej zmianie bez ubolewania, bez gorzkiego smutku.

Znaczna ilość Polaków greckiego obrządku winna wyprosić sobie, aby metropolita nie był borytelem w polityce.

Ku uwadze arcybiskupa Bilczewskiego.

Duchowieństwo ruskie jest ważnym czynnikiem w walce narodowościowej Rusinów. Duchowieństwo polskie jest pod względem narodowem obojętne, dla ludu i jego potrzeb niechętne. Złożył się na to u nas w Galicyi szereg warunków, a między niemi niepoślednią rolę odgrywa wadliwe urządzenie seminaryów katolickich. — Wobec tego iż pragniemy, aby duchowieństwo nasze nie było uciekienierem z tej walki o byt narodowy, jaką winno toczyć społeczeństwo nasze, podejmujemy sprawę wadliwego urządzenia seminaryów katolickich w Galicyi,

podając w tej sprawie relacyę b. słuchacza teologii w październikowym nr. „Teki“, pisma dla młodzieży świetnie redagowanego, zasługującego na czytanie inteligentnych kół społeczeństwa naszego.

Gimnazyasta, wchodzący w mury zakładu seminaryjnego, dostaje się z życia wolnego i swobodnego, jak na ucznia gimnazyalnego, w niewolę, wprost pod nadzór policyjny. Na każdym kroku czuje nad sobą śledzące go oko nie tylko X. X. rektora, wicerektora, prefekta, patra spirytualnego, lecz także wszystkich kolegów. Plan spędzenia dnia jest ściśle przez rektorat seminaryjny określony i we wszystkieh seminaryach mniej więcej jednaki. N. p. w seminaryum tarnowskiem i przemyskiem: O g. 5-tej rano donośny głos dzwonka budzi wszystkich kleryków. Punkt wpół do 6-tej rozpoczynają się ranne modlitwy w kaplicy seminaryjnej, które trwają zwykle do trzy kwadranse na 7-mą. Po modlitwie udają się klerycy do sal przeznaczonych na naukę, gdzie powtarzają lekcye. O wpół do 8-mej śniadanie. Od 8 do 10 wykłady. Od wpół do 11 do 12-ej uczenie się lekcyi; wolno wtedy zajmować się tylko lekcyami zadanemi, a podczas nauki ks. prefekt obchodzi sale naukowe i dogląda, czy klerycy nie zajmują się czytaniem jakich innych książek. O 12 udają się klerycy na modlitwy do kaplicy; następuje obiad a potem chwila wolna do godz. 2. Od 2 do 4 wykłady. Od 5 do 7-mej uczenie się jak przed południem. Po 7-mej kolacya i wolne do wpół do 8-mej. Od wpół do 8 do 9 modlitwy, po których idzie się spać. (Rozkład godzin w sem. krakowskiem i lwowskiem różni się tem tylko, że wszystkie wykłady są rano, a wyuczanie się lekcyi popołudniu). Z tego planu już widać, że prawie zupełnie nie może kleryk zająć się nauką rzeczy najniezbędniejszych nawet nieteologicznych, bez znajomości których trudno dziś wyobrazić sobie człowieka wykształconego.

W zakres nauki wchodzi: dogmatyka ogólna i szczegółowa, stary testament, gramatyka hebrajska, teologia moralna i duszpasterska, historya kościelna, pedagogika, propedeutyka filozoficzno - teologiczna (czyli filozofia scholastyczna), prawo kanoniczne i katechetyka; nadto szczupła doza poglądów na kwestyę socyalną z punktu widzenia katolickiego. Historya polska, historya literatury polskiej w program nie wchodzi, a czasu na uczenie się ich nie zostawia się klerykom, jak widzieliśmy z planu nauk. Pod tym względem klerycy ruscy są o wiele szczęśliwsi, bo pozwolono im uczęszczać na wykłady uniwersyteckie literatury i języka ruskiego. — Nauki, wchodzące w program, są nader suche i ciężkie. I w naturze ich leży do pewnego stopnia i przedewszystkiem w systemie, że tu nie można nic rozumować tylko co do litery wszystko wykuć. „Ja wolę mniej wiedzących a posłusznych, niż mądrych a krnąbrnych i rozumujących“ — powiedział ks. biskup tarnowski.

Do osłodzenia pobytu w seminaryum nie przyczynia się bynajmniej wzajemny stosunek kleryków i przełożonych, którzy swych wychowanków traktują przedewszystkiem nie jak ludzi inteligentnych.

Nie brak jednostronnych motywów politycznych. X. Rektor, przedstawiając klerykom wartość dzieł, znajdujących się w bibliotece, podnosi pod niebiosa działalność Tarnowskiego, Koźmiana, Szujskiego, nazywając ich „ojcami narodu“, potępia zaś pracę literacką Jeża, zwąc go „wolnomularzem“. Ale są i gorsze rzeczy. W seminaryum tarnowskiem jeden z księży (ks. M.) zalecał klerykom naukę języka rosyjskiego, mówiąc, że to już niedaleki czas, jak dostaniemy się pod berło cara północy, gdzie nas czeka wielkie zadanie nawrócenia Moskwy na katolicyzm! Lojalność i rezygnacyę polityczną wpaja się dość wyraźnie, by między klerykami krążyło przekonanie: gdy będziesz prawdziwym Polakiem, to nigdy proboszczem nie zostaniesz, a będą cię włóczyli jak wikarego po zapadłych piaskach lub górach. Przekonanie może przesadzone, ale jakie stosunki wytworzyły je?

A alumni? Przeważnie młodzi niewolnicy, skryci, podejrziiwi, zazdrożni, nie ożywieni rozbudzonymi ideałami narodowymi i społecznymi, nie rzadko nie wierzący nawet w Chrystusa i Jego naukę.

A przecie powołanie duchowieństwa na ziemiach polskich jest ogromnie doniosłe.

Z ZIEM POLSKICH.

Zabór pruski.

(Akademia hakatystyczna a „prymas“. — Ruch przedwyborczy. — Abstynencya Katolika“).

Arcybiskup Stablewski tymi dniami dał nowy dowód lojalności i służalczej uległości wobec rządu. Kazano mu, aby kleryków seminaryum duchownego posyłał do nowej akademii założonej w Poznaniu w celach germanizatorskich. Znający ks. Stablewskiego nie mają wątpliwości, że naczelnemu prezesowi „prowincyi“ nie trudno było nakłonić „prymasa“ do tego kroku. „Kuryer Poznański“ i „Wielkopolanin“ usiłują obronić arcybiskupa przed zarzutem jakoby to było rozporządzenie, którego spełnienie uwłaczałoby godności narodowej, przedstawiając motywy, które dostojnika zmusiły do tego.

A więc zagrożono mu, że jeżeli klerycy nie będą uczęszczali na wykłady, wtedy seminaryum duchowne zostanie zamknięte. Strachy na Lachy. Sfery rządowe wiedzą, że arcybiskupowi potrzeba tylko pierwszą lepszą bajkę powiedzieć, aby go zmusić do najdalszych ustępstw. — Wspomniane pisma „wyspy tumskiej“ głoszą ku obronie swego inspiratora, że zgodził się na wydanie rozkazu chodzenia na wykłady tylko pod tym warunkiem, że w uczuciach swych narodowych słuchacze nie będą zaatakowani. Na to odpowiada konsekwentny niemiecki hakatystyczny „Tageblatt“, że nikomu się ani marzyło o żadnych pertraktacyach.

Gazety polskie, z wyjątkiem oczywiście organów arcybiskupich występują ostro przeciw Stablewskiemu. Bo też Wielkopolska nie ma szczęścia ze swem arcypasterstwem, który niejeden już czyn nie polski ma na swem sumieniu. Nawet tam, gdzie nie jest popychany do tego — przez rząd pruski, zachowanie jego jest takie, że pozazdrościćby mu go mógł niejeden najzaciętszy germanizator.

Czas wyborów do sejmu zbliża się. W całym zaborze pruskim odbywają się zebrania i wiece przedwyborcze. Ugodowcy wykonują ostatnie podrygi. Usiłują przeforsować, tych kandydatów swoich, którzy przepadli przy wyborach do parlamentu. Głównie pragną przeforsowania ks. Jażdżewskiego i dr. Dziembowskiego. — Ten ostatni sam agituje za swoją kandydaturą i ostrzega przeciw posłowi Głębockiemu, najbardziej przez „ugodowców“ znienawidzonemu. Jest jednak nadzieja, że intrygi ich na nic się nie zdadzą, gdyż kandydatury ich przepadają na zgromadzeniach przedwyborczych.— Prócz okręgów, w których Polacy nie mają nadziei zwycięstwa, dotąd tylko na jednem zebraniu wyborczem udało im się przeprowadzić swoje kandydatury.

Polski komitet wyborczy na Śląsk postawił polskie kandydatury tylko w jedym okręgu, pszczyńsko-rybnickim. W innych tego nie uczynił na nalegania „Katolika“. Ale i w tym okręgu „Katolik“ zastrzegł sobie „abstynencyę“, t. z. że nie potrzebuje występować przeciw kandydaturom centrowym. W tych dniach komitet centrowy postawił już w Pszczynie i Rybniku swoich kandydatów. „Katolik“ w myśl tej „abstynencyi“ nie występuje przeciw nie-

mieckim kandydatom, ale uzasadnia to w ten sposób, iż raczej wygląda to na popieranie centrowców. Pisze, że popierał przy wyborach do parlamentu posła Faltina, więc teraz nie może go zwalczać, zwłaszcza, że to co o nim był wtedy pisał jest prawdą. Innemi słowy, skoro za lat pięć znowu Faltina centrowcy postawią na kandydata, wtedy „Katolik“ też nie będzie mógł występować przeciw niemu, boć i za pięć lat prawda przeeież pozostanie prawdą. Zaczyna się coś psuć na Śląsku i to z winy owego właśnie Napieralskiego, któremu niektórzy przypisują zasługę doprowadzenia do zgody. s. z.

Loewenstimm.

Zbrodnia i zabobon.

(Ciąg dalszy).

II.

Inną grupę tworzą ofiary budowlane. Zrazu zarzynano ludzi na ofiarę, potem pieniądze i dokumenty wrzucano do ognia. Dziś oczywiście nie przelewa się się już krwi ludzkiej, lecz w ludzie żyje jeszcze silna wiara w to, że krwi tej rzeczywiście potrzeba; nie trudno sobie wyobrazić, że skutki stąd płyną fatalne, gdyż lud wierzy święcie, iż bez krwi ludzkiej nie może się udać żadna większa budowa. Można nawet twierdzić, że przesąd ten tkwi w legendach wszystkich ludów europejskich. W Londynie np. opowiadają, że przy budowie Toweru wlewano do wapna krew zwierząt. Przy budowie twierdzy Liebenstein w Turyngii zamurowano podobno dziecko. Pod główną wieżą Nowogrodu, starego miasta hanzeatyckiego ma być także wmurowane dziecko. Nad brzegami Wołgi znana jest następująca legenda: Podczas budowy Kremlu trzeba było ofiary ludzkiej. Kto wówczas miał to nieszczęście, że przed wschodem słońca przechodził pod placem budowy, tego grzebano żywcem pod fundamentami. Przy budowaniu twierdzy Suram na Kaukazie nie udawało się przez długi czas poprowadzić muru na samej górze nad głęboką przepaścią; nareszcie zdecydował się budowniczy zamordować dziecko i krew jego wlać do wapna. Twierdzę zbudowano, lecz jedna ściana wiecznie jest wilgotna. Lud twierdzi, że to kamienie płaczą i łzy leją nad młodem życiem zamordowanego dziecięcia. W Indyach pewnego razu gruchnęła wieść, że do zbudowania pewnego mostu potrzeba będzie stu dzieci. Mieszkańcy okoliczni przedsiębrali środki ostrożności, aby swoje dzieci uchronić od zguby; zarządali nawet straż, która czuwała aby nikt obcy nie wkradł się do wioski. Takie same straszące pogłoski chodzą zawsze wówczas, gdy buduje się jakąś kolej. Hindusi bowiem są przekonani, że pod progi na torze kładzie się głowy dziecięce. Przy takiej sposobności zamordował razu pewnego tłum bengalczyków kilku afganistańskich kupców, podejrzewając ich o to, że przyszli kraść chłopców i dziewczątka.

Ten sam przesąd rozszerzony jest w całej Indyi, w Borneo, Chinach i Japonii.

Często też zdarzają się morderstwa, popełnione celem wykopywania ukrytych skarbów. I te wypadki należy podciągnąć pod rubrykę ofiar składanych nieznanym bóstwom, gdyż krew zamordowanych uważają opętani zabobonem przestępcy jako środek ugłaskania ducha strzegącego skarbów. Ten przesąd rozszerzony jest szczególnie między słowiańskimi ludami nawet w najnowszych czasach. Gogol opisuje w jednej ze swoich opowieści ukraińskich, jak to szukają skarbów w noc świętego Jana. Młodzieniec znajduje skarb, nie może się jednak dotknąć jego, zanim nie zabije dziecka, które przyprowadza mu czarownica.

Podobne rzeczy dzieją się nietylko w powieści, ale i w rzeczywistości; przesąd ten opętał myśli chłopów i jest bezpośrednią przyczyną niejednej zbrodni.

14-go kwietnia 1892 znaleziono obok wału ochronnego twierdzy Semendrya w Serbii zwłoki podoficera Ilii Konstatynowicza. Leżał zupełnie nagi na kołdrze wojskowej w polu, gardło i serce miał wyjęte. Wkrótce zgłosił się też sam morderca; był to przyjaciel zamordowanego Wasyl Radułowicz. Opowiadał, że Ilia przyszedł do niego w nocy i opowiadał mu, że śniło mu się już 5 razy, iż na pewnem miejscu wałów można znaleść skarb, jeśli się na krótki czas poświęci życie. Prosił go więc, żeby poszedł z nim, wziął kołdrę i zażądał od przyjaciela, aby go zabił pchnięciem noża, wyciął mu gardzieli serce z piersi i potem oznaczone miejsce na wałach pokropił krwią jego. Na tem miejscu miał później kopać, a znajdzie żelazny pręcik, i butelkę wódki. Następnie miał gardziel i serce napowrót włożyć do ciała Konstantynowicza i polać zranione miejsca wódką. Konstantynowicz przysięgał, że wówczas odżyje i będzie miał moc odnalezienia owego skarbu. Radułowicz zrobił tak, napróżno jednak szukał na oznaczonem i krwią zamordowanego pokropionem miejscu wspomnianego pręcika i owej butelki. Zwątpiwszy o skuteczności poszukiwań wsadził gardziel i serce napowrót. Śledztwo wykazało, że Radułowicz mówił prawdę, gdyż Ilija Konstantynowicz opowiadał sam o owym śnie i o swym zamiarze swoim przyjaciołom.

Nie jest to wypadek odosobniony. Przed kilkoma laty zamordowany został w Niszu w Serbii Sima Savicz przez swoich dwóch przyjaciół w tym samym celu. Obaj mordercy przyznali się do winy i zostali ukarani za mordestwo. Przed 26 laty chcieli dwaj chłopcy w górach Dryna zamordować towarzysza, aby za pomocą krwi jego odnaleźć skarb. Towarzyszowi jednak udało się ujść z ciężkiem zranieniem.

Na wiosnę 1901 zamordowano w okręgu balaszowskim w gubernii Saratowskiej starego bartnika, ażeby krwią jego uzyskać przystęp do ukrytych skarbów. Aby uzyskać dość wiele krwi, zraniono go pchnięciem noża w szyję, a następnie dopiero uduszono go rzemieniem.

Można też przytoczyć wypadek z życia indyjskiego. Hindus, nazwiskiem Ramanagowd, został skazany na śmierć ponieważ syna własnego zarznął bożkom na ofiarę. Oskarżony przynał się do winy, zeznawał jednak, że ufał we wszechmoc boga swego. Popełnił zbrodnię ponieważ był przekonany, że bóg wskrzesi mu syna, a jego hojnie wynagrodzi. Modlił się zwyczajnie w Świątyni Kona-Tralla. Tu pewnego razu objawił mu się bożek w postaci Jangamasa i rzekł: „Podemną są ukryte skarby, tobie tylko chcę je oddać ale musisz mi zaofiarować głowę swego syna, olbowiem bożkowi, który komuś wyrządza jakąś łaskę, trzeba zawsze zaofiarować głowę człowieka. W nagrodę za to wskrzeszę twego syna i oddam wam skarb największy w świecie“. Hindus odważył się zaznaczyć, że ma tylko jednego syna; Jangamas zaś odrzekł: „Dany ci będzie syn drugi, nie obawiaj się, albowiem syn twój będzie wskrzeszony“. Ponieważ we wskazanym przez bożka czasie, żona rzezcywiści urodziła mu drugiego syna, wzmocniła się wiara jego, sprowadził starszego swojego syna do świątyni i zażnął go przya ołtarzu bożka. Następnie począł się żarliwie modlić, lecz nadspodziewanie wtargnęła do świątyni policya i uwięziła go. Podczas śledztwa Ramanagowd nie przyznawał się do winy i twierdził, iż odpowiedzialni za śmierć jego dziecka są ci, którzy mu przerwali modlitwę.

Lekarze, którzy go badali skonstatowali, że był zupełnie poczytalny.

Wypadek taki jest nadzwyczaj zajmujący dla psychiatry, gdyż u

człowieka opętanego zabobonem objawiają się halucynacye połączone z wizyami.

EKONOMISTA.

W sprawie przemysłu tkackiego.

Wydawnictwo berlińskie „Jüdische Statistik“ mówiąc o nędzy galicyjskiej, wypowiada zdanie szablonowe naszych wrogów wewnętrznych i zewnętrznych — o niechęci szlachty galicyjskiej, krajem rzekomo rządzącej do uprzemysłowienia Galicyi. Zdanie to naszych Feldmanów, Daszyńskich et consortes, znajduje się w rażącej sprzeczności z uchwałami sejmu z 1889 i 1893 o zwalnianiu nowopowstających przedsiębiorstw od dodatków do podatków, sprzeciwia się tej nowej śmiałej akcyi przemysłowej, która urabia świadomość ekonomiczną i drogą wieców przemysłowych propagandy wyrobów krajowych, akcyi, na czele której stoi ks. Lubomirski, pionier jednej z najważniejszych gałęzi naszego przemysłu.

Akcya przemysłowa w Sejmie znalazła wyraz nietylko w debatach o cukrownictwie, gałęzi przemysłu, w której bezpośrednio są zainteresowani właściciele ziemscy, u agraryuszy, ale i we wniosku posła Paygerta, zamożnego właściciela ziemskiego, rzecznika ceł zbożowych, a niemniej rzecznika uprzemysłowienia Galicyi.

Na posiedzeniu 14 września i 12 października r. 1903 poseł Paygert uzasadniał potrzebę uprzemysłowienia kraju:

„Kraj nasz w znacznej części posiada ziemie bardzo urodzajne, które dawniej były spichlerzem Europy, a mimo to bieda galicyjska prawie w przysłowie weszła. Ubóstwo naszego kraju objawia się na wszystkich polach życia ekonomicznego i społecznego.

„Mała wydatność podatków konsumcyjnych, liczna emigracya, tak stała, jak i czasowa, wysoki procent śmiertelności, najwymowniejszy wyraz dają biedzie naszego ludu. Częste zmiany własności, zastraszający wzrost zadłużenia dowodzą znowu, że ta nędza ludu nie jest skutkiem wyzyskiwania jednej klasy społecznej przez drugą, ale, że biedzie ludu towarzyszy i upadek ekonomiczny pracodawców.

„Gdzie leży przyczyna, dla której Galicya nie bierze udziału w imponującym postępie ekonomicznym państw i krajów zachodnich?

„Rzućmy okiem na nasz bilans ekonomiczny; naszkicować przejrzysty obraz produkcyi i konsumcyi ludności siedmiumilionowej — to prawie niepodobne bez pomocy bilansu handlowego, niestety dokładnych cyfr tego ostatniego nie mamy.

„Statystyka cłowa podaje przywóz i wywóz towarów tylko dla całego obszaru cłowego, a nie dla poszczególnych części; na podstawie wykazów statystycznych o ruchu towarowym na kolejach i poczcie możemy jednak urobić sobie pewne wyobrażenie o eksporcie i imporcie kraju naszego. Wynik takiego studyum przedstawia się smutno.

„W rubryce wywozu poważniejsze miejsce zajmują tylko: świnie, bydło, drzewo, nafta, wosk ziemny, a wreszcie jaja, z tych ostatnich znaczna część jest pochodzenia rosyjskiego, a figurują w wykazach jako galicyjskie; natomiast sprowadzamy wszystko, nietylko wyroby przemysłowe, ale nawet import zboża przewyższa eksport.

„Nasz bilans handlowy jest biernym w wysokim stopniu. Bogate państwa zachodnio-europejskie: Anglia, Francya, Niemcy, mają również bilanse handlowe bierne, lecz one różnicę między wartością przywozu a wywozu pokrywają odsetkami od kapitałów ulokowanych za granicą. U nas wygląda to całkiem inaczej, my nie tylko, że nie jesteśmy wierzycielami zagranicy, lecz przeważnie jesteśmy u niej zadłużeni.

„Własność nieruchoma w Galicyi obciążona jest pożyczkami, których suma wynosi przeszło miliard koron, pożyczki te w przeważnej części udzielane bywają we formie listów zastawnych. Dzięki uprzejmości naszych instytucyj, mających prawo emitowania takich listów, przekonałem się, że mniej więcej jedna trzecia tychże znajduje się za granicami kraju.

„Dodajmy do tej sumy inne papiery wartościowe i weksle galicyjskie, które są ulokowane poza krajem, a wówczas nabierzemy pewnego wyobrażenia o milionach opłacanych co roku przez naszą ludność obcym kapitalistom.

„Galicya winna tyle eksportować, aby pokryć nietylko cenę kupna towarów importowanych, ale i procenta od swoich długów. W gospodarstwie społecznem podobnie jak w gospodarstwie jednostki, musi panować pewna równowaga, w przeciwnym razie byt członków tegoż gospodarstwa staje się coraz przykrzejszym, wywołuje tem większe niezadowolenie, im mniejsza odległość geograficzna od krajów szybko naprzód ekonomicznie postępujących, ponieważ porównanie z nimi jaskrawo uwydatnia własną biedę.

„Uzyskanie równowagi gospodarczej, to najważniejsze zadanie, bo ona jest i podstawą rozwoju cywilizacyjnego. Do osiągnięcia tego celu znam tylko jedną drogę: powiększenie produkcyi; tylko przez powiększenie produkcyi możemy nasz eksport powiększyć, a import zmniejszyć; na pierwszy składają się produkta surowe, na drugi przemysłowe. Przypatrzmy się, czy wolno nam pracę organiczną zcentralizować na jednem z tych pól, czy też równocześnie w obu kierunkach działać musimy?

„Zaludnienie Galicyi gęściejszem jest, niż przeciętne monarchii, do której należymy. Prawie cztery piąte ludności naszej żyje z rolnictwa, podczas gdy w całej Przedlitawii tylko połowa utrzymuje się z roli.

„Stopień rozwoju naszego gospodarstwa rolnego nie odpowiada temu gęstemu zaludnieniu. Pod względem wydatności uprawy Galicya zajmuje jedno z ostatnich miejsc nietylko w szeregu krajów korony habsburskiej, lecz i europejskich w ogóle. Wskutek nadzwyczaj gęstego zaludnienia rolniczego przy uprawie stosunkowo dosyć prymitywnej, nigdzie ani w Europie ani w Ameryce nie wypada przeciętnie na każdego rolnika tak mała ilość produktów, jak u nas, nigdzie praca rolnika nie jest tak mało wydatną. Zboże w Galicyi wyprodukowane nie wystarczyłoby do wyżywienia nawet tylko ludności rolniczej, jeżeli miałoby odpowiadać wymogom fizyologii i hygieny.

„Zaludnienie Galicyi jest prawie tak gęstem jak w Niemczech, a one tylko trzy czwarte swego zapotrzebowania pokrywają własnem zbożem, gdybyśmy więc rolnictwo nasze doprowadzili nawet do tego stopnia intenzywności, na którym stoi niemieckie, nie moglibyśmy liczyć na znaczny eksport zboża.

„Nad podniesieniem rolnictwa z całym zapałem pracować musimy, ponieważ ono jest podstawą naszego bytu; nie łudźmy się jednak, abyśmy mogli znowu kiedykolwiek do krajów zboże eksportujących być zaliczeni. Chcąc osiągnąć równowagę w bilansie handlowym, musimy stworzyć przemysł, aby zmniejszyć przywóz towarów obcych.

„Najlepszym środkiem przeciw wzrastającemu zadłużeniu własności ziemskiej jest: stworzenie przemysłu; ci którzy kupują dziś

majątki po nad swoją możność finansową, czynią to dlatego, ponieważ nie widzą innego sposobu zużytkowania swoich sił i swego kapitału, wówczas znajdą nowe a wdzięczne zadanie na polu przemysłu.

„Najskuteczniejszym środkiem przeciw rozdrobnieniu gruntów włościańskich, jest również stworzenie przemysłu; wszelkie inne środki bez równoczesnej a energicznej pracy nad rozwojem przemysłu, czynią na mnie wrażenie połowiczności; jeżeli chcemy, aby przy zagrodzie rodzicielskiej utrzymało się tylko jedno z rodzeństwa, musimy innym dać możność zarobienia na kawałek chleba i uzyskania ekonomicznej podstawy dla utworzenia gniazda rodzinnego.

„Bez przemysłu nie może rozwijać się techniczna strona rolnictwa, albowiem gdzie niema przemysłu, niema odbytu na rośliny okopowe i handlowe, mięso i inne produkta zwierzęce, a więc nie można dostatecznie rozszerzyć uprawy roślin pastewnych.

„Jednem słowem: Dziś bez przemysłu niema postępu rolnictwa, niema ani zamożnego włościanina ani szlacheckiego dworku opierającego się na pewnych ekonomicznych podstawach.

Następnie mowca kilku przykładami z historyi przemysłu różnych krajów wykazywał, że przemysł zapoczątkowywał się przy poparciu rządu, który ma różne przejawy poza polityką ceł ochronnych. Mowca stawia na posiedzeniach sejmu 12 października dwa wnioski:

„Wysoki Sejm raczy uchwalić!

„Poleca się Wydziałowi krajowemu założyć przy departamencie przemysłowym biuro statystyczne, któreby nieustannie śledziło i badało kierunek i intenzywność rozwoju produkcyi przemysłowej i rozwój handlu w Galicyi, a wyniki tej pracy co roku drukiem ogłaszało.

„Sejm poleca Wydziałowi krajowemu: Dołożyć wszelkich starań do zachęcenia ludzi odpowiednio ukwalifikowanych, aby ci założyli w Galicyi tkalnię mechaniczną. Kraj ułatwi powstanie tego przedsiębiorstwa, udzielając pożyczki do wysokości trzech czwartych kapitału zakładowego i obrotowego. Pożyczka ta ma być udzieloną na niższy procent i na dłuższy amortyzacyjny okres, niż zwykle to ma miejsce przy pożyczkach z funduszu przemysłowego wypłacanych. Suma pożyczki nie śmie przekraczać kwoty 300.000 koron; jeżeli fundusz przemysłowy będzie odpowiednio podniesionym, ma ona być z tego funduszu wypłaconą.

„Wydział krajowy otoczy tę fabrykę swoją opieką, której głównym celem będzie: ułatwienie odbytu, a zatem u władz państwowych poprze starania zarządu fabryki o uzyskanie dostaw, a u administracyi kolejowej o uzyskanie zniżek taryfowych, tak dla materyałów surowych jak i wyrobionego towaru.

Co do wniosku stworzenia u nas statystyki przemysłowej, której brak dotkliwie u nas uczuwać się daje. bez której każda akcya, czy to publiczna, czy też prywatna, na polu przemysłu staje się, jakąś nieobliczalną niemal loteryą — nie mamy nic do nadmienienia.

Wniosek o subwencyonowaniu przez wysoką pożyczkę fabryki tkackiej nasuwa wielką ilość kwestyj. Dać trzy czwarte kapitału na fabrykę tkacką, postarać się dla niej o zbyt i taryfy, znaczy to być w trzech czwartych właścicielem fabryki tkackiej. Czy zamiast współwłasności nie lepszą byłaby własność kraju?

Gdzie owa fabryka ma powstać, czy w Krośnie, centrum naszego tkactwa domowego, gdzie ludność wdrożyła się do tkactwa i może dać dobry materyał robotniczy? Czy gdzieś w okolicach Krakowa, niedaleko centrum produkcyi tkackiej na Śląsku, która może udzielić wyszkolonych majstrów i robotników dla tkackiego przemysłu?

Są to pytania wymagające wszechstronnego rozważenia.

Wniosek posła Paygerta nie zapoznaje wagi taryf kolejowych dla producyi przemysłowej i wkłada na kraj obowiązek orędownictwa o odpowiednie taryfy kolejowe. Ale wiemy, że orędownictwo wydziałów krajowych i Izb handlowych tak często są nieuwzględniane przez Ministerstwo handlu. Ileż to podań i zażaleń odnośnie do taryf kolejowych obchodzićby mogło 25-cio letni jubileusz. Następnie ulgi taryfowe dla galicyjskiego przedsiębiorstwa tkackiego mogą iść w parze z analogicznemi a nawet znaczniejszemi ulgami taryfowemi dla czeskich przedsiębiorstw na galicyjskim terenie.

Bez kompetencyi kraju w sprawie taryf kolejowych, bez pełnej kompetencyi finansowej Sejmu galicyjskiego, ściśle związanej z możnością ukrajowienia kolei galicyjskiej — trudno wytworzyć dobre warunki rozwoju przemysłu w kraju naszym.

Przy obecnej swej kompetencyi Sejm nie może wytworzyć warunków korzystnych dla tej lub owej gałęzi produkcyi, ale tylko temu lub owemu przedsiębiorstwu może przyjść z pomocą materyalną w miarę szczupłych swych środków. Jest to akcya niemal indywidualna.

Każdy błąd w ocenianiu osoby, kontr-agenta, prowadzącego przedsiębiorstwo już może akcyę postawić na niewłaściwym gruncie.

Ciemnota w Galicyi w świetle cyfr i faktów.

Niedawno pod powyższym tytułem ukazała się książeczka nieznanego autora*) podpisana pseudonimem Światłomir. Książeczka ta jest nie mniej nie więcej jak tanim produktem radykalizmu galicyjskiego, nie wiele sobie zadającego trudu badania rzetelnego omawianej kwestyi, uważającego statystykę za zbiór cyfr, z których można zawsze utworzyć jaskrawe zestawienie.

Autor zapowiada w tytule książki „Ciemnota Galicyi w świetle cyfr i faktów 1772—1902 r., że przedstawi nam los szkół galicyjskich od zaboru kraju. Tu znajdujemy twierdzenie, że rząd austryacki nie tylko zachęcał szlachtę i księży do zakładania szkół, ale nadto czuwał (?), aby szkoły nie świeciły pustkami. Rozporządzeniem z dnia 20 paźdz. 1781 r. nakazano nie przyjmować dzieci bez świadectwa szkolnego do służby, ani do rzemiosła. Co do uposażenia szkół utrzymała się zasada, że zakładanie szkół jest obowiązkiem gromad i dominiów (str. 2). Otóż powyższe rozporządzenie było jednym z tych licznych patentów okresu t. zw. oświeconego absolutyzmu, które nie miały żadnego praktycznego zastosowania, gdyż nie odpowiadały objektywnym warunkom. Z relacyj naczelników okręgów i radców gubernialnych od 1785 do 1789 roku (tak zwanych kreisbereisungen), złożonych po lustracyi odpowiednich okręgów, widać, że w każdym ze zbadanych 18-stu okręgów Galicyi było po kilka zaledwie szkół. Uczące się dzieci stanowiły tak nieznaczny odsetek, że nieprzyjmowanie do usług lub rzemiosła dzieci nieumiejących czytać było wykluczone przez stosunki faktyczne. Rząd nie łożył nic na szkoły elementarne po wsiach, nie pomnażał ich na gruntach kameralnych, gdzie na niego bezpośrednio padały obowiązki, leżące na dominiach. Wielu przedstawicieli biurokracyi austryackich józefińskiego typu widziało w szkołach pożądany czynnik germanizacyjny. Nauczycielom udzielano nagrody za postępy uczniów w języku niemieckim i radca

*) Światłomir „Ciemnota Galicyi". „Wyd. Polskiego towarzystwa nakładowego.

gubernialny Korthum, znany autor odpowiedzi na zażalenia szlachty galicyjskiej z 1790 r., proponował w 1786 r., aby w szkołach ludowych uczono religii w języku niemieckim. Wobec germanizacyjnych tendencyj rządu austryackiego w szkolnictwie krajowem, niemożliwą byłaby akcya społeczeństwa polskiego w tej dziedzinie.

Autor opierając się na datach statystycznych z 1846—57 r., ironicznie twierdzi, iż „tak gorąco krzątano się u nas około zakładadania szkół ludowych, że liczba ich w końcu zmniejszyła się o 90. Autor zapomina, że był to okres społecznej i politycznej reakcyi, odwrotnej fali germanizmu i centralizmu; najlepsi wyginęli we walce z 1846 i 1848 r. lub siedzieli w więzieniach, społeczeństwo polskie pozbawione było możności jakiejś akcyi zbiorowej na szerszą skalę w Galicyi, nawet dawnych postulatowych sejmów, zwoływanych na parę dni w dowolnych odstępach czasu do r. 1848, nie zwoływało się już więcej. „Gdy po nadaniu konstytucyi Sejm galicyjski objął w r. 1861 opiekę nad potrzebami kraju, spodziewano się, że jednym z głównych punktów programu będzie podniesienie sprawy szkolnej. Oczekiwania zawiodły. Dopiero 31 st. 1863 r. prof. dr. J. Dietl zabiera w Sejmie poraz pierwszy głos w sprawie szkolnictwa krajowego, domagając się utworzenia komisyi edukacyjnej krajowej. Dwuletnie milczenie „było odpowiedzią na to żądanie“ (str. 6).

Otóż p. Światłomir ignoruje lub przez ignorancyę przeocza ten fakt, iż Sejm z 1861 r. obradował wszystkiego dni 10, że ukonstytuowanie się Sejmu, sprawa językowa w Galicyi, kwestya obsyłania lub nieobsyłania parlamentu, kwestya konstytucyi austryackiej i stosunek Galicyi do Austryi — musiały wypełnić krótką kadencyę sejmową, w której jednak znaleziono czas, aby upomnieć się o fundusz edukacyjny Galicyi.

P. Światłomir mógłby, chociażby z pracy p. Bobrzyńskiego, dowiedzieć się, dlaczego to „dwuletnie milczenie było odpowiedzią na żądanie posła Dietla 31-go stycznia 1863 r. Sejm został zamknięty na długo, zeszedł się dopiero w listopadzie 1865 r.

Autor twierdzi, że wolny postęp szkolnictwa galicyjskiego jest wynikiem trzech przyczyn: Nieprzychylnego stanowiska Sejmu względem oświaty ludowej, wadliwego urządzenia rady szkolnej, ducha naszej naczelnej władzy szkolnej (18 str.).

Wszystkie te trzy przyczyny dadzą się jednak sprowadzić do jednej — nieprzychylnego stanowiska sejmu względem oświaty ludowej. To jest główną treścią pracy pana Światłomira. Dla udowodnienia tej niechęci posługuje się on urywkami z przemówień sejmowych. Każde zwrócenie uwagi, że budżet szkolny winien odpowiadać budżetowi krajowemu, każde żądanie przystosowania szkół do potrzeb kraju, do potrzeb tych stanów, które dają główny kontyngent wychowawców tej lub owej kategoryi szkół — podchwytuje autor, jako objawy wstecznictwa, niechęci do oświaty. Stąd wśród „wsteczników“ figuruje Zyblikiewicz, którego hasła: „Szkoła w każdej wsi, chociażby w chacie wiejskiej“ — nieuwzględnia autor, podsuwając mu tylko chęć do obniżenia poziomu szkolnictwa krajowego. Rzecz też naturalna, że autor przemilcza uchwałę sejmową z roku 1894, nakładającą na obszar dworski podatek szkolny, dotąd obowiązujący tylko gminy. W wielu działach swej książki p. Światłomir zdradza nietylko ignorancyą, ale i perfidyę.

Jaką statystyczną metodą posługuje się autor, zilustrujemy kilku przykładami. „Wszystkie gorzelnie w państwie naszem wyprodukowały 1,514,029 hl., z czego na gorzelnie galicyjskie przypadło 617,220 hl.“. Autor przytacza to jako dowód pijaństwa Galicyi, robiąc błąd a la Feldmann, który z produkcyi tego lub owego wyrobu w kraju wyprowadza wnioski o konsumcyi jego.

Produkujemy znaczną ilość spirytusu na eksport. Podatek wybiera się na miejscu produkcyi, w gorzelniach, tak, że przeciętna ilość podatku spirytusowego na głowę jeszcze nie mówi o konsumcyi krajowej na głowę. Śmiesznem jest zestawienie u autora ilości szynków z ilością szkół w Galicyi, gdyż w Szwajcaryi jest znacznie więcej szynków niż szkół, a ilość szynków galicyjskich nie stanowi nawet 18 prc. szynków w całej Austryi, przy ludności Galicyi 27,7 prc. ludności Austryi. Nie wytrzymuje krytyki porównanie wydatków na szkoły Czech i Galicyi — bez uwzględnienia różnicy w budżetach tych krajów. Właściwie trzebaby było napisać tom, aby sprostować fałsze i błędy naukowe książeczki p. Światłomira. Unikając cyfr, które mu są niedogodne, p. Światłomir nie daje nam zestawienia budżetów sejmowych, któreby wykazały, jak szczupłym jest ten budżet i jak znacznym stał się wydatek na szkoły, gdy przestaliśmy ponosić wydatki na indemnizacyę. Nie zestawia autor cyfry uczących się dziś i na początku ery konstytucyjnej.

Otóż w 1869 r. było, jak sam podaje, 163,917 uczniów w szkołach galicyjskich, w 1902 r. mamy 830,407 korzystających z nauki szkolnej i dopełniającej. Jest to postęp znaczny. Wprawdzie 25,98 prc. dzieci w wieku szkolnym nie korzysta z nauczania ani w szkołach publicznych, ani prywatnych, ale temu stoją na zawadzie szczupły budżet sejmu, brak odpowiedniej finansowej kompetencyi sejmu, skrępowanie jego w wyborze systemu finansowego — uniemożliwia nam wydatki na oświatę.

Liberalizm wiedeński a socyalizm.

Anton Menger. Neue Staatslehre.

Praca niniejsza jest typową dla liberalizmu austryackiego. Menger wybitny prawnik austryacki z krytycznych przesłanek socyalizmu podjął się dać pozytywny całokształt przyszłego państwa socyalistycznego w tej formie, w jakiej przedstawia się przeciętnemu socyaliście, wierzącemu w dogmaty programu socyalistycznego. Nie znaczy to bynajmniej, by Menger nie próbował krytycznie rozpatrzyć tę lub inną doktrynę, widać jednak, iż robi to od niechcenia, jak gdyby z musu. Niektóre rzeczy byłyby w książce Mengera wprost niezrozumiałe, gdyby nie uprzytomnić sobie tego faktu, iż jest on świadomym zupełnego rozkładu liberalizmu austryackiego, zupełnie niesłusznie utożsamia go z liberalizmem wogóle. Ta absolutna niewiara w liberalizm, w jego siły twórcze zrodziła w Mengerze pragnienie uwierzenia w socyalizm, w zupełną możliwość zrealizowania jego postulatów teoretycznych. Ta wiara zmusza go uznawać takie rzeczy, w które dawno nie wierzą już rozumniejsi socyaliści. Tak, naprzykład, w kwestyi patryotyzmu zajmuje stanowisko, które licowałoby co najwyżej agitatorowi socyalistycznemu z Mościsk lub Buczacza, a nie wybitnemu uczonemu tej miary, jakim jest Menger. Da się to objaśnić jedynie środowiskiem społecznem, wśród jakiego się obraca i działa. Rzeczywiście z patryotyzmem austryackim rzecz ma się nie wesoło, nawet wprost rozpaczliwie; szczerymi austryakami patryotami mogą być tylko urzędnicy pewnych dykasteryi i żandarmi. Nic więc dziwnego, iż do takiego patryotyzmu Menger odnosi się bardzo krytycznie, dzieląc przekonanie, że patryotyzm to wymysł silnych i mądrych dla oszukiwania słabych i głupich. Niepotrzebnie jednak redukuje patryotyzm wogóle do tego specyficznego patryotyzmu austryackiego. Nie mniej powierzchowne i błędne

są zapatrywania Mengera na międzynarodowość socyalizmu. Rzekoma ta międzynarodowośc polega właściwie na hasłach i frazesach, wprawdzie powtarzanych bardzo często z emfazą w różnych okazyach, lecz zupełnie zakwestyonowanych przez życie i politykę partyi socyalistycznych. Dość tu wspomniec hakatyzm socyalistów niemieckich, germanizacyjne centralistyczne dążenia socyalistów austryackich, stanowisko socyalistów francuskich w kwestyi aliansu z caratem i dziesiątki podobnych objawów, by przekonać się, iż dzisiejsza międzynarodowość socyalizmu to chimera i obłuda, której życie zadaje kłam na każdym kroku.

Wogóle cała praca Mengera jest przesiąknięta bezkrytycznością i optymizmem co do różnych teoryj i teoryjek socyalistycznych, z któremi sami socyaliści dotąd nie mogą dać sobie rady, choć wiadomo, iż socyaliści to mistrze bardzo biegli w rozwiązywaniu najzawilszych kwestyj.

Mimo tych błędów i wad książka Mengera nie jest pozbawiona wartości; daje ona przegląd różnych kwestyj z socyalistycznego punktu widzenia, oświetlonych wprawdzie bezkrytycznie lecz ujętych w pewną całość. Socyaliści zapewne nie omieszkają ogłosić światu, iż praca Mengera to nowy tryumf socyalizmu, choć w rzeczy samej stanowi ona tylko dowód wąskości i bezsilności liberalizmu i to tylko austryackiego, który rzeczywiście dzięki warunkom historycznym dziś nie jest zdolny do żadnej twórczości w żadnym kierunku.

Menger jako prawdziwy liberał austryacki nie omieszkał choć trochę ukłuć Polaków; z wysokości liberalizmu wiedeńskiego ogłosił Księstwo Warszawskie i Królestwo Kongresowe jako bardzo zacofany kraj, a przecież nie trudno dowieść, iż to zacofane Królestwo Polskie do roku 1831 pod każdym względem stało wyżej niż monarchia austryacka i znaczna większość państw niemieckich. Zdaje się, iż Menger zwyczajem różnych wiedeńczyków czerpał swą erudycyę co do Polski z mów Daszyńskiego w parlamencie wiedeńskim, a to trochę zamało.

Książka ta naogół do nauki nie wnosi nic nowego, co zresztą nie było jej celem. Autor niepotrzebnie dał jej zbyt obiecujący tytuł, który zupełnie zawodzi czytelnika. Ma on tylko znaczenie jako zbiór doktryn socyalistycznych podanych w formie, mającej zainteresować inteligentniejszego czytelnika, jak to zaznacza nam autor.

AUDAX.

Szlakami wiedzy.

(Dokończenie).

Teraz pragnę jeszcze parę słów poświęcić ogólnemu wrażeniu, jakie całość na mnie zrobiła. Przedewszystkiem autor przedstawia kwestye i teorye naukowe przeważnie zupełnie objektywnie, wyjątkowo tylko wyjawia swój oryginalny pogląd. Jest to wielka zaleta, lecz mojem zdaniem, jednocześnie i wada całej tej książki. Dziś, kiedy wśród gorączki pisarskiej zbyt wiele się myśli i pisze samodzielnie, samodzielne przytem prawiąc banialuki, dziś każda na znajomości rzeczy, na poważnych studyach oparta i z pierwszorzędnych żródeł treść swą czerpiąca książka popularna ma tem głębszą wartość. Takiemi są odczyty prof. Nusbauma i to ich wielką zaletę stanowi. Ale i w dobrem wszakże miary przebierać nie należy: zaleta, która właściwe sobie granice przekracza staje się wadą. Wolałbym w wielu miejscach widzieć więcej indywidualności autora, wolałbym by między teoryami i dowodami zaczerpniętymi z rozmaitych powag było więcej stanowczych myśli autora. A jak słuszną jest zasada, że każdy naród musi przyswajać sobie pierwiastki cywilizacyjne całej ludzkości, lecz przytem jeśli nie ma zamrzeć na zarazę cywilizacyi, lecz na nowe tory ją popchnąć, musi na tych prądach własne indywidualne piętno wycisnąć, tak też mamy prawo żądać od poszczególnego badacza, by twierdzenia i dowody stawiał od siebie, by przetrawił je w swym umyśle i zamienił na swą własność, przez to wlewa się w te poglądy moc przekonania i czytelnik lepiej się wczyta i zżyje z temi zasadami. Tego zaś w książce prof. N. nieco za mało i to uważam za ujemną stronę, choć wiem, że inni, których ideałem jest zupełna przedmiotowość odmiennego będą zapatrywania.

Natomiast jako zaletę podnieść muszę umiejętny dobór omawianych zagadnień i jasne — choć gdzieniegdzie może dla profanów przyciężkie, traktowanie przedmiotu.

Również doborowe ilustracye niektóre specyalnie dla tego dzieła rysowane stoją na wysokości swego zadania i przyczyniają się nie tylko do uprzystępnienia omawianych poglądów, lecz podnoszą zewnętrzną artystyczną stronę książki. Wdzięczność zatem należy się autorowi za poniesioną pracę, a nakładcy za postawienie wydania na stanowisku odpowiadającem zewnętrznej wartości.

L. BYKOWSKI.

Odezwa T. S. L.

Ilekroć razy „Towarzystwo Szkoły ludowej“ widzi się zmuszonem zwrócić do społeczeństwa polskiego z wezwaniem do ofiarności publicznej na cele Towarzystwa, czyni to zawsze w takiej tylko chwili, kiedy wymaga tego istotna i gwałtowna potrzeba. Toteż i obecnie Zarząd główny pragnie zwrócić uwagę szerokiego ogółu polskiego na bardzo pilne i nie mniej ważne zadanie najbliższej przyszłości, jakie czekają nasze Towarzystwo w dziedzinie podjętych i zamierzonych budow gmachów szkolnych na wschodnich i zachodnich kresach naszej dzielnicy i ziemi śląskiej. Naród, który ma szkoły — śmiało może spozierać w swą przyszłość! Niezbita to prawda i stwierdzona wśród licznych walk, jakie staczać musi naród czeski z germanizacyą. W myśl tego hasła płyną rok rocznie krocie tysięcy ze składek społeczeństwa czeskiego na rzecz „Maticy szkolskiej“, na ratowanie tysięcy dusz młodego pokolenia. I my czynić to musimy, jeśli nie chcemy rok rocznie składać haraczu z tysięcy dusz naszej młodzieży molochowi germanizacyi, jeśli skutecznie ochraniać mamy młode pokolenia przed zgubnym wpływem czechizacyi i rusinizmu na kresach naszych.

Przeszło pół miliona koron wydało Towarzystwo nasze w ciągu kilku lat na budowę i utrzymanie szkół kresowych, a potrzeby najbliższej przyszłości wymagają dalszych ofiar. Już obecnie wykończyć musimy budowy kilku szkół kresowych, kosztem około 40.000, nowy ciężar powstaje dla Tow. Szkoły ludowej przez potrzebę utrzymania nowych szkół: w Morawskiej Ostrawie i Leszczynach pod Białą. Przeszło 3000 dzieci polskich uczących się w ojczystym języku w szkołach naszego Towarzystwe rok rocznie znajduje skuteczną ochronę przed wynarodowieniem. Cyfry te, te wymowne dowody użyteczności działania „Towarzystwa Szkoły ludowej“ — niechaj starczą za wszelkie najpiękniej brzmiące słowa zachęty do poparcia naszej akcyi. Rodacy, poprzyjcie nasze usiłowania! Nie szczędźcie drobnych choćby ofiar na poparcie ciężkiej walki w obronie przyszłości milionów ludu naszego, bo podstawą lepszego jutra, bo zadatkiem zwycięstwa — to polska szkoła ludowa“.

Wszelkie ofiary nadsyłać można do Administracyi dzienników polskich, lub pod adresem Zarządu głównego T. S. L. w Krakowie.

Zarząd główny Tow. Szkoły lud.

Auslaender czy Inlender?

Co swojskie winno być lepsze,
Lecz nie wynika wprost z tego,
By swojak już bez wyjątku
Był lepszy od obcego.
Niekiedy swój nas zawiedzie!
W tych słowach prawda tkwi szczera:
Że bardzo często — *Ausleander*
Jest lepszy od — *Inlendera.*

ZOIL.

Ryciny do omawianej przez nas książki Dra J. Nusbauma „Szlakami Wiedzy“, wydanej nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego.



Krajobraz dna morskiego; po lewej stronie liliowce, po prawej gąbki, po środku ryby, skorupiaki i rozgwiazdy głębinowe.



Ryba głębinowa, Saccopharynx pelecanoides.



Skorupiak głębinowy z grupy Pantapoda, Colossendeis arcuata (zmniejszony).



Skorupiak głębnowy, Nematocarcinus gracilipes (wielk. nat.).

M. Nowicki.

Telegraf bez drutu.

Dwa morza w usługach elektryczności.

Stara to prawda, że człowiek im więcej ma, tem więcej pragnie. O czem przed stu laty ledwie śmiano marzyć, czem przed pięćdziesięciu zachwycano się i za najdoskonalszą rzecz, za największy wynalazek uważano — na to już dzisiaj patrzy się człowiek z pobłażaniem, już mu to nie wystarcza i rwie się naprzód — w dziedziny tak potężne i wysokie, że aż niektórzy ludzie, przez zbyt trzeźwe okulary świat widzący, zawrotów głowy dostają.

Przed stu laty ideę komunikowania się na daleką przestrzeń stawiano na równi z kamieniem filozoficznym i „perpetuum mobile“ — aż nagle w trzydziestych latach XIX. stulecia Gans i Weber budują w Getyndze pierwszy telegraf, a w parę lat później Wheatstone i Cooke, w obecności wielu znakomitych inżynierów, porozumiewają się telegraficznie na znaczniejszą już przestrzeń — bo między stacyami Euston i Camden Town pod Londynem.

Doświadczenie to w krótkim przeciągu czasu sprowadziło przewrót w całym ówczesnym sposobie komunikowania się.

Zrazu telegrafowanie polegało na odchylaniu się igły magnesowej pod wpływem prądu — ulepszony już był zbudowany przez Siemensa i Halskego telegraf zegarowy, a ten musiał ustąpić pierwszeństwa systemowi Morse'a, powszechnie po dziś dzień używanemu.

I odrutował człowiek ziemię całą siecią przewodów telegraficznych i w mgnieniu oka niosła iskra wolę jego z krańca ziemi na kraniec i zniknęła przed nim przestrzeń... ale i to za mało dla potężnego dziś pana stworzenia, krępowały go i więziły telegraficzne druty, więc się otrząsnął i spadły więzy, bo powstał wielki geniusz Marconi i dał światu to, o czem poprzednio najfantastyczniejsze umysły świata marzyć ledwie śmiały, dał telegraf bez drutu.

Opiszemy tu w krótkich słowach istotę tego wynalazku.

Ażeby módz telegrafować bez drutu, trzeba wytworzyć zwykłą iskrę elektryczną, która budzi w eterze fale elektryczne, a ponieważ eter znajduje się wszędzie we wszechświecie, więc taka fala może dojść wszędzie i nic prawie nie jest dla niej zaporą.

Na stacyi, która ma telegram odebrać, trafia taka fala na rurkę wypełnioną proszkiem metalowym, a ta jest włączona w przewodnik, po którym może krążyć prąd elektryczny — ale proszek metalowy ma tę własność, że zupełnie przez siebie prądu nie przepuszcza i to tak długo, dopóki nań nie trafi fala elektryczna; z tą chwilą staje się on dobrym przewodnikiem elektryczności i przepuszcza prąd, który może poruszać zwykły aparat telegraficzny tylekroć, ilekroć wytworzono iskrę na stacyi wysyłającej.

To jest w ogólnych zarysach sposób telegrafowania bez drutu.

Przez te kilka lat, które upłynęły od pierwszych dni wynalazku, znacznie go już ulepszono i po licznych próbach, przedsiębranych we wszystkich krajach, zdołano zawiązać korespondencyę bez drutu między Europą a Ameryką, na przestrzeni 5.700 kilometrów!

Jakie znaczenie ten wynalazek będzie miał dla ludzkości, dziś jeszcze niepodobna przewidzieć, bacząc na to, że nie wyszedł on jeszcze z okresu prób i badań. Ilu tu niebezpieczeństw będą mogły uniknąć okręty, jeśli każdy będzie połączony z stacyami rozsianemi po wszystkich wybrzeżach, i uwiadomiony o każdej zmianie pogody.

W podróżach polarnych będzie można w ciągłym być związku z środowiskami życia ludzkiego. A co za przewrót, jaki szalony będzie postęp w potędze człowieka, jeśli jeszcze prócz myśli i pracę uda się przesłać na odległość bez przewodnika, jeśli całe miasta da się oświetlić energią dalekich rzek lub wodospadów górskich, jeśli z brzegów będzie można kierować podwodnymi statkami! Jeden krok jeszcze tylko do rozwiązania kwestyi żeglugi powietrznej, jeśli statkom powietrznym uda się przesłać z ziemi siłę bez przewodnika, bo o ciężar motorów wszystko prawie do tej pory rozbijało się.

Ale to wszystko kwestya przyszłości.

Dziś elektrotechnika nie gardząc wielkiemi nadziejami, wciąż idzie naprzód w swym zdumiewającym postępie.

Oto mamy znów do zanotowania potężny pomysł, wobec dzisiejszych środków technicznych zupełnie możliwy do wykonania.

Inżynier francuski Simon podał projekt połączenia morza Śródziemnego z Martwem kanałem 73 kilometrów długim, z czego 60 klm. przypadłoby na tunel.

Morze Martwe, najniższy punkt na ziemi, jest 400 metrów niżej położone od Śródziemnego, więc gdyby nawet 100 metrów zużyto na spadek, potrzebny, by wody z jednego morza przelewały się do drugiego, to jeszcze będzie można wykorzystać 300 pozostałych metrów spadku, co odpowiada energii przeszło 30.000 koni parowych.

Morze Martwe nie posiada odpływu, więc możnaby się obawiać, że jego powierzchnia podniesie się, ale dopływ wód kanału byłby znikająco mały wobec masy wód, którą przynosi Jordan, mimo czego jednak morze Martwe zupełnie się nie podnosi, a sprawia to ogromnie suchy klimat i promienie słońca, które dziennie 6 i pół miliona metr. sześc. zamienia ją na parę.

Kanał ten kosztowałby 15 do 20 milionów franków, ale wobec zupełnego braku węgla w tych stronach, wskutek czego jakikolwiek rozwój przemysłu jest niemożliwy — koszta te opłaciłyby się zupełnie wobec wielkich a zupełnie nietkniętych bogactw tych stron bo energia wód zamieniona w turbinach na elektryczną, zupełnie zastąpiłaby węgiel na miejscu i w rozłożonych na okół miastach: Jerozolimie, Jaffie, Damaszku, Beirucie a nawet w Suezie, Port Said i Kairo.

Oto jeden z najśmielszych dziś projektów, a jak będą ludzie na to zapatrywali się za lat kilkadziesiąt — kto dożyje — zobaczy.

KOBIETA.

(Ciąg dalszy).

V.

Każda sztuka lub wiedza otwiera nową drogę, którą można wejść do wnętrza ukochanej kobiety.

Nie jest to tak łatwo, by dwie dusze w siebie spłynęły. A każda z tych wielkich metod, które nazywamy wiedzą lub sztuką, wprawia duszę ludzką w nowe drżenia, pobudza w niej nowy organ kochania.

I na następujący moment za mało może zwracamy uwagi: kobieta przyjmuje ideje w sposób od naszego

zupełnie odmienny i przeobleka je w sobie w formy, których może najmniej się spodziewamy. Co dla mężczyzny jest światłem, jest dla kobiety ciepłem. Myśl jest u niej czuciem. A czucie, jeśli jest tylko trochę żywsze, pobudza jej system nerwowy. Płodną, żywą myśl czuje mężczyzna w mózgu, kobieta czuje ją w rdzeniu, w całym organizmie.

*

Jakiem szczęściem jest iść z kobietą przez świat sztuki! W niej sztuka spłynie się z miłością i spłynie się z religią, która przecież także jest miłością...

Kto kobietę w ten świat wświęci, będzie dla niej kapłanem słońca, szczęścia i miłości.

Może zbrodnią byłoby wprowadzać dziewczynę-dziewicę poza pewne gdyby chłodne i trzeźwe religie. U progu świata, w którą ją wprowadzi miłość, może należy ją' wstrzymać, niech ją tam dopiero prowadzi mężczyzna, któremu z miłością powie, że jest zawsze jego.

Niech jej na razie wystarczy stara, surowa florentyńska szkoła, Rafaela Madonna i Poussin. Może byłoby to bezbożnością zapoznawać ją z Corregiem i jego lubieżnością. Może byłoby to niemoralne, gdyby rozkryć przed nią chorobliwą głębię, ciemną, gorączkową rozkosz konającej Italii w uśmiechu Jokondy.

A życie samo, to żywe życie poznawać można tylko miłością. Wspaniała Nereida, jasnowłosa, bujna piękność Rubensa drży w falującej pianie — może biada tej dziewczynie, która to drżenie rozumi, i rozumi, co te wpół otwarte wargi szepczą!...

Ale i arcydzieła Grecyi ze swoją wyniosłą czystością, mimo, że nie mają ani śladu tamtej zmysłowości, te omdlałe kobiety, te upadające matki u Tezeuszowej świątyni — której dziewczynie są one przystępne? Pod tymi fałdami bijące serca, wezbrane łona oszołomiłyby ją, ten duch miłości i macierzyństwa jeszcze dla nich za wczesny.

Niech ona jeszcze trochę zaczeka!

W objęciach męża, z oddechem jego miłości pojmie je, nadysze się ich pięknem i sama niem wypięknieje.

*

Muzyka jest prawdziwą gloryą, duszą — powiedziałbym — modnego świata. Muzyka — jest sztuką, w której spływają się dusze, która z duszy najłatwiej promienieje w duszę. Miłość muzyką najgłębiej wnika w duszę kobiety, miłość muzyką najpotężniej promienieje z duszy kobiecej.

Prawdziwa wielka muzyka lub te proste za serce chwytające melodye swojskie zdawały mi się nieraz być miłością i niczem więcej niż miłością, snem kochania na małżeńskiem łożu.

I pewien jestem, że kobieta, która każdemu potrafi dać pieśń swoją, ma serce wyschłe i nie znajdzie pieśni dla kochanka.

*

Przez miłość potrafi kobieta przyjąć wszystko, najłatwiej może duchową kulturę.

Mamyż więc dawać jej rzeczy małe, mierne? Bardzo wielu tak robi, bo uważa to za najłatwiejsze. Nie chcemy zrozumieć tego, że wszystko naprawdę wielkie jest od razu i najzwyklejszem i najprostszem. Kobieta w swojej skromności ma pewną bojaźń przed arcydziełami, ona woli trzymać się swojej romansowej powieści. A te powieści przeważnie mierne i powierzchowne, wywołują tylko zamęt w jej pojęciach i trują zdrowe uczucia.

Wskazujmy jej tylko prawdziwe wielkości! niech po nie tylko wyciąga ręce, tam ona znajdzie dla siebie prawdziwe światło, tam znajdzie siłę serca, moc czystości i cnoty.

Kobiety nasze przywykły szukać miłości w Balzacu — dla czego nie chcą jej szukać w Szekspirowskim „Romeo i Julii“ lub „Cydzie“, w Sakontali lub Dydonie Wergila.

Myśmy — mężczyźni — temu winni.

*

Kobieta jest gdyby harfa, która ma przecudne tony górne i bardzo pełne tony niskie, a brak jej wyrównanej dobrze średnicy.

Bo kobieta jest przeolbrzymią i malutką od razu.

Ona widzi te wszystkie drobnostki, które usuwają się z pod męskiego oka. I kiedyindziej znów umi patrzeć po nad głowy męskie, przenika w przyszłość, w jakiś świat niewidzialny, po nad światem ciał umi patrzeć w państwo dusz.

Pomiędzy jej zdolnościami widzenia drobrostek i przepotężną jakąś siłą sybillskiego jasnowidzenia, brak jej harmonijnego, złotego środka, w którym spokojnie do snu ułożyćby się mogła wrażliwa jej dusza. I dlatego u kobiety tak często poezya spada do prozy, proza przemienia się w poezyę, w burzę lub szał uczuć...

Kobieta jest gdyby klimat południowych nadmorskich wybrzeży, które tak szybko rozsrebrzą się w przeczystym blasku słonecznych promieni jak za chwilę ukryją się w cieniach przedburznych chmur.

VI.

Prości ludzie mówią o szczęśliwych małżeństwach, że „dobrali się“. I mają słuszność; szczęśliwym jest ten co daje i ten co bierze. Niezupełnem jest szczęście dającego i niezupełnem jest szczęście biorącego i dlatego do szczęścia koniecznem jest najmniej dwoje ludzi, zapewne takich, którzy „dobrali się“.

Idyotycznem jest powiedzenie, które często się słyszy: wszystko zależy od niej... lub jak inni gadają: wszystko zale od mężczyzny...

Obie strony muszą być odpowiednio ukwalifikowane, aby pożycie małżeńskie było wprzód pożyciem małżonków, a nie życiem dwojga obcych sobie ludzi związanych, raczej spętanych ze sobą kontraktem małżeństwa, a potem aby było szczęśliwe.

By rzeczy zbyt nie czynić skomplikowaną, trzeba na razie pominąć motywy i okoliczności zewnętrzne, leżące po za istotą jednej i drugiej osoby małżonków. Takie niesprzyjające okoliczności zewnętrzne muszą w danych wewnętrznych znachodzić dla siebie zupełne zrównoważenie, a dopiero nadwyżka ostatnich może być wciągniętą w rachunek kombinacyjny budżetu szczęśliwości małżeńskiej. Najpospolitszą taką wrogą okolicznością zewnętrzną są złe stosunki materyalne. Czem one są gorsze a więc i przykszejsze, tem więcej „dobrani“ muszą być ci ludzie i tem więcej miłości obopólnej potrzeba, by je zrówroważyć, a resztę energji kochania skierować dopiero można do utrwalenia szczęścia domowego. Nie znaczy to bynajmniej, by ludzie majętni lub dobrze sytuowani mieli być o tyle szczęśliwsi o ile lepsze są ich stosunki materyalne, ale znaczy to, że o tyle jest im łatwiej przy danych wewnętrznych osiągnąć to, o co tam ci nieraz, mimo najlepszej chęci zdenerwowani i zmęczeni codzienną walką o chleb, napróżno walczą.

Jeśli mężczyzna jest, że się tak wyrażę, odpowiednio ukwalifikowany, to znaczy, że potrafi się z jednej strony przystosować do kobiety, z drugiej strony potrafi ją poprowadzić mądrze i wyrozumiale, zachodzi pytanie jaka kobieta może dać mu szczęście małżeńskie?

Są pewne rodzaje kobiet, które stanowią materyał dobry na szczęśliwą i uszczęśliwiającą żonę, a są znów pewne rodzaje, z których mimo najlepszych chęci, najlepszych danych wewnętrznych po stronie męskiej i mimo nawet sprzyjających warunków przyrodniczych żona taka urobić się nie da.

Ogromnie gruboskórym byłby rozdział kobiet na fizyczną dziewicę i kobietę, tj. taką która ma fizyczną znajomość życia.

Wprawdzie wobec dziś rozpowszechnionych i panujących pojęć do fizycznej czystości przywiązuje się ogromnie wiele wagi, jednakże nie każdy mężczyzna, który ową fizyczną czystość uważa za pewną *conditio sine qua non*, nie bardzo może sobie dowierzać czy wogóle w decydującym momencie potrafi się na niej nieomylnie poznać. Zresztą to przywiązywanie wagi do niej jest objawem najzwyklejszej głupoty, zasadzającej się na tem, że my robimy tak, bo tak robili nasi ojcowie i ich ojcowie i dziadowie, a nie zastanawiamy się nad tem, że za czasów naszych dziadów przypuszczalnie szła czystość fizyczna w parze z czystością moralną, dziś zaś podczas kiedy czystość fizyczna jest w końcu rzeczą zupełnie pospolitą prawdziwa czystość moralna bardzo wyjątkową.

Rzeczą bardzo naturalną jest, że ta ostatnia stanowi niewątpliwie czynnik ogromnie korzystny, jednakże — jak to później wykażę ani niedecydujący ani niekonieczny.

Fakt, że bardzo wielu za taki go uważa, pochodzi z bezlitosnego i barbarzyńskiego mniemania, że kobieta, które raz „upadła“ już podnieść się nie potrafi. A tymczasem kobieta ani sama nie „upada“ — tylko przywodzi ją do tego głód i zbydlęcenie mężczyzn — ani nie jest jej winą, że nie może się „podnieść“ — tylko mężczyźni, brnąc sami w błocie po uszy, uważają się mimo to dziwną logiką za jakieś istoty, po których błoto się obślizguje a nie czepia, i kobiecie takiej rzucają w twarz bezwstydną wzgardę, która aż nazbyt łatwo ją zabije, wypali w niej szlachetne uczucia i wypali wszystkie te iskierki, które wydmuchane litością rozpłonęłyby silnym może i trwałym ogniem a przygniecione wzgardą wygasną w bolu, trawiącym duszę skopanej i oplwanej kobiety, najczęściej o wiele czystszej i pełniejszej serca, niż ci, co ją kopią i na nią plują.

(Ciąg dalszy nastąpi). &

Kornel Makuszyński.

STROFY.

Oto odpocząć chcę po wędrowaniu
Na słońc wezgłowiu, na niebios posłaniu:
Zamknij mi oczy siostro,
Pocałunkami zamknij moje oczy;
Niech się nad nami srebrne mgły rozpostrą,
Niechaj nie widzę nic.
Wstrząśnij nademną złoty zwój warkoczy,
Niechaj mię palą twoich źrenic słońca
Niech biją na mnie pożary z twych lic,
A potem do mnie mów
A potem mów bez końca
Włosów szelestem, oddechem ust
Bez słów,
Bez słów mów do mnie.

Jakobym żagiew w piersi miał, tak we mnie
Goreje dusza świetlista ogromnie:
Tłumić nie będę pożaru daremnie,
Niech płonie!
Niechaj się we mnie wszystka głąb spopieli,
Ostaną w piersi kruszce drogocenne —
Przeto mi usta daj i przybliż skronie,
A skrzydeł dwoje z ramion mi wystrzeli
I grom uderzy w moje oczy senne —
Przeto mi usta daj i przybliż skronie.
Niech mi się wzniesie niezmiernym zawrotem
Świat, jakby skrzydła z chmur wziął od Anioła,
Niech się obłąka myśl wśród komet roja,
Jeno mi dotknij lic złocistym splotem,
Jeno ustami dotknij mego czoła
I usta całuj — złotowłosa moja.

SEMJON JUSZKIEWICZ.

GHETTO.

(Ciąg dalszy).

— Dzień dobry, Fajga, dlaczego tak psujesz sobie piersi? Słuchać nie mogłam, tak mnie to zgniewało. Nawet i roku tu wytrzymać nie możesz. Czyś ty jest sama na świecie? Ty masz takiego męża, takie dzieci, aniołki; nie ma człowieka, któryby ich nie znał, coś dobrego o nich nie mówił, a ty niszczysz sobie zdrowie dla takich głupich rzeczy. Czy ty chcesz zginąć z tą Zypką! Kiedy ten kaleka Jerochim nie dał sobie z nią rady, ty chcesz jej mądrą mową coś wytłómaczyć?

— Czegoś jeszcze i ty tu przyszła? — rzekła Zypka, z wysiłkiem już tylko utrzymując szlochanie i przechodząc mimo uderzyła Lubkę po za ucho. — Czy bez ciebie już się nie obejdzie? Chcesz od niej wytumanić trzydzieści kopiejek, to przychodzisz tu taka słodka i dobra. A coś wczoraj wygadywała na Fajgę? Takeś się dziwiła, że ona nie pękła jeszcze od tłustości. A o jej dzieciach? coś plotła o jej dzieciach? Skrofuliczne bachory, mówiłaś, a teraz robisz swiętą? — O, podli ludzie! Kiedyś Bóg mi pomoże! — wybuchła raptem Zypka głośnem szlochaniem. — Serce mi pęka przez was. Wasza familja przeklęta mnie zabija. A Jerochim nie wasz? Ja mam sumienie, a wy co? Jeszcze ten tuman, ten kaleka. Ale dlaczego was Bóg nie skarze?! Czego pijecie dziesięć lat moją krew? Kto mnie wtrącił w to wszystko nieszczęście w to piekło? Wy, wy, wy...

— Słyszałaś ty, Belja? — wrzasnęła Fajga. — My ją w nieszczęście wpędzili! Czy jest Bóg na niebie? Czy inna by poszła za Jerochima... Całe miasto wiedziało, że on jest głupowaty; a kto inny, jak ten obłąkaniec, byłby się z taką ożenił? I my wam mamy pomagać, jak byśmy was tylko mieli na głowie! Ty myślisz, że ja nie wiem, żeś ty wróciła od tych jakichś państwa, gdzie służyłaś, ciężarna, że cię kochanek porzucił, żeś ty dziecko miała i za mamkę służyła? Możeś ty była uczciwa, nimeś poszła za mąż? Wiedziałamżeś ty Jerochima oszukiwała, alem się nie chciała w to wdawać; dobrze niech temu waryatowi tak będzie i takiej dziewce... I czego ty narzekasz teraz? Czy ja mogę pomagać waryatowi i takiej oo! Psom wolę dać niż wam! On był taki bezczelny, że ciebie w mój uczciwy dom wprowadził, a ja musiałam milczeć. Pewnie sobie myślał, że ja cię będę tak głaskać, jak on to robił. O, ja wiedziałam, wiedziałam o tem wszystkiem. Jak on potem zamiatał izbę, łóżko zaścielał, w buty ciebie ubierał, a ty siedziała niby jaka królowa i ani ci się ruszyć nie chciało.

Ale ja już wtedy wiedziałam, jak to będzie, wiedziałam, że jak przyjdzie nędza to dyabli wezmą miłość i zamiatanie izby. Kiedyście tu jeszcze mieli podarunki ślubne, to on ci śpiewał piosenki, ale kiedyście już wszystko posprzedawali to on ci inne zaśpiewał. Wszystkom to wiedziała już dawno. Już i to wiedziałam, że ty będziesz sama zamiatać, a jego z domu wypędzisz, aby przyniósł chleba. Aleś to źle sobie wyliczyła. Ten kaleka Jerochim nie wyżywi żony. Dzieci robić, żebraków pchać na świat to on umi! Piosenki śpiewać to on umi — ale na na chleb zarobić to nie! Jak ty śmiesz mówić, że my ciebie w nieszczęście wtrącili? Małom wam pomagała? Kiedy wypędzę Jerochima od siebie, wy zginiecie z głodu, gmina was pochowa! Na prześcieradła nie wystarczy to wszystko! A ty myślisz, że ci Pan Bóg pomoże i rodzisz dzieci, nieszczęsna waryatko! Naturalnie ni stąd ni zowąd pokaże się, że dzieci twoje mają nadzwyczajne zdolności... A po kim to, powiedz mi, po tobie czy po nim? Nie, tobie Pan Bóg nie pomoże, bo waryatom Pan Bóg nie pomaga!

— Aj, zostaw, zostaw ją... — przerwała Bejla niby wzruszona. — Czy nie wiesz, że twoje słowa marnują się? Czego ty się nią irytujesz? Mieliśmy dość przykładów, gdzie ludzie nieuczciwie postępują tam i źle się musi skończyć. A za kochanie to Pan Bóg karze. Możeś ty wyszła za mąż z miłości? Czyś ty siedziała jakby jaka królowa, a twój Chaim, aby zdrów był, czy ubierał ci kiedy buty! Czynny mężczyzna nie wdaje się w takie głupstwa. Dlatego tobie idzie, dzięki Bogu, tak dobrze. Co on weźmie do ręki, to mu się i szczęści. Po co ty się zadajesz z taką Zypką? Ty masz męża, dzieci, na co i takiej Zypki? Dość ci już jest i tego Jerochima...

Zypka stała, gdyby przygwożdżona, niezdolna wymówić ani słowa. Ile prawdy, ile prawdy było w tych wszystkich zarzutach. Tak miała kochanka, który ją porzucił! I dziecko miała z nim, i ono zginęło z głodu w obcych rękach. Wszystko, wszystko to prawda, ale Jerochima nie oszukała nigdy. Ach, gdyby można to koło życia odwrócić i zacząć nowe życie, takie jakiem ona je teraz widzi. Ile niepowodzeń, rozmyślnych i przypadkowych błędów jest po za nią, których ona się teraz wyprzeć nie może, mimo wstydu — mimo bólu — miłe, dobre lata młode! Dlaczego wtedy kiedy życie tak się do nas śmieje, tyle daje nam przyjemności, dlaczego wtedy popełniamy błąd po błędzie, dlaczego wtedy sami nie wiemy, kiedy brniemy w straszne rzeczy? Tak lekkomyślnie niszczymy nasze siły młode, a potem ostaje przed nami taka długa ciężka droga, której ani praca ani wytrwałość nie może osłodzić. Żeby był też ktoś ją pouczył, odkrył jej choć trochę te zasłony tajemnicy, pouczył ją o tem, co ją czeka, co się z nią stanie... Bo któżby pomyśleć mógł, że ze świeżej młodej dziewczyny, jaką była, stanie się głodną nędzarką, którą otacza pół tuzina głodnych bachorów, a obok niej stoi tuman, któremu co dzień, co godzina zagraża ślepota! Za późno już, za późno! Niech jej wymyślają, niech ją piętnują, biją!... To wszystko prawda, prawda. Ale nie... nie wszystko, nie wszystko to prawda...

W rozpaczy wyciągnęła przed siebie ręce, jak gdyby zakląć chciała tych ludzi bezdusznych, by jej uwierzyli, że nie wszystko jest prawdą, co jej zarzucają. Gdy oni ją znali, gdyby im mogła serce swoje wyjąć i położyć przed nimi na dłoni, by zeń w jednej chwiii całą historyę jej życia odczytać mogli... a gdzież słów nabierze, jakich słów dobierze, by im to tak wyrazić jak ona to czuje?!

Przed Jerochimem nie ukrywała prawdy. Początkowo kiedy jeszcze myśl o utracie szczęścia ją dręczyła, chowała głęboko tajemnicę swojej przeszłości, przeszłości, w której uczucia i nadzieje jej życia wepchnięto w błoto uliczne, w której jej bolesne, straszne kochanie stało się przedmiotem naigrawań i widowiska w rodzinnem miasteczku, gdzie ją każdy znał. Jako młode, piętnastoletnie dziewczę, niedoświadczona, bojaźliwa, zakochana w każdym kamyczku dróg, po których się dzieckiem bawiła, w ludziach, wśród których żyła, musiała sama w nocy uciekać na zawsze z miejsca, w którem się urodziła i wychowała i rzucić się w fale życiowe obce jej i nieznane, nie wiedząc dokąd idzie, co ją czeka. Wtedy bała się wszystkiego, była zdolną do wszystkiego, by tylko Jerochim nie dowiedział się — a ileż innych uczyniłoby w jej położeniu zupełnie przeciwnie. Lecz kiedy przekonała się, że Jerochim ją naprawdę kocha, powiedziała mu wszystko, niczego przed nim nie zataiła, a on współczuł z nią, ten głupowaty Jerochim współczuł z nią; ten pokraka nie pogardził nią. Jak gdyby gdzieś przed sobą ujrzała na drodze światło, tak proste i równe wydało się jej wszystko i gdyby od Boga pobłogosławione. Lecz sen szybko się skończył. A jaki to był skromny sen! Czyż to było tak wiele, czego od życia się spodziewała? Czy wogóle dziewczyna w jej stanie mogła sobie wiele nadziei robić? Jeśli tylko mąż jest dobrym robotnikiem i potrafi na kawałek chleba dla rodziny zarobić i na kąt, w którym można głowę złożyć, czegoż więcej potrzeba? Pewnie, że początkowo trochę się upajała swojem szczęściem: lecz jak drogo zapłaciła za trzy miesiące szczęścia całem życiem pełnem trosk, bólów i umęczeń! Niech ktoś spojrzy tylko na nią! Czy ktoś może w niej dopatrzeć się tej świeżej, hożej dziewczyny, którą była kiedyś? Wystarczy popatrzeć na jej ręce! Wyschłe i zniszczone ciężką pracą — niech ktoś w ustach jej znajdzie choćby ząb zdrowy, jeden włos czarny na jej głowie!

Zypka już nie była w stanie utrzymać się na nogach; upadła na łóżko i wybuchła szlochaniem. Bejla spojrzała w oczy Fajgi i zaśmiała się z pochlebstwem.

— Komedya — rzekła Fajga z nienawiścią — takiemi komedyami ona opanowała naszego Jerochima. Ja z moim kochanym mężem nie robiłam takich awantur. Miłość, kochanek — stare historye, niemi dziś już nikt się nie wzruszy. Gdybym miała przed ślubem dziecko sama naplułabym na siebie. Ja jestem uczciwa, słyszysz Zypka, i nikt prócz Chaima nie dotykał tego ciała. Kiedy człowiek jest uczciwy, ma prawo do wszystkiego i Pan Bóg pomaga mu; mnie Pan Bóg pomógł, a ty się nigdy nie wygramolisz z tej nędzy. Ty myślałaś, że we mnie znalazłaś dojną krowę, którą będziesz doić, jak długo ci się będzie chciało. O, niech ci się to z głowy wybije! Nie dostaniesz odemnie ani kopiejki. Siedem lat ci nic nie daję i do śmierci ci nic nie dam. I gdybyś tu już nogi wyciągnąć miała!...

— A więc precz, precz stąd krzyknęła Zypka. — Niech cię Pan Bóg karze od tego progu przez całe życie twoje. Niech nieszczęście idzie za tobą, gdzie się tylko postąpisz. Niech moje łzy spadną na ciebie, na twoją rodzinę, niech ludzie ze wstrętem odwracają się od ciebie, niech ciebie, twój dom i twoje dzieci unikają ludzie, jak zarazę... Niech...

Wtem upadła Zypka brzuchem na dół w poprzek przez bok łóżka i z wyciągniętemi przed siebie kurczowo wyprostowanemi rękami wyglądała niby jakiś ptak wielki w ostatniem konaniu.

Fajga i Bejla w śmiertelnym przestrachu wybiegły z pokoju. Hanka przypadła do matki i płakała nad nią gdyby nad umarłą.

W pokoju zaczęli się zbierać ludzie...

(PRZEKŁAD &.) (C. d. n.)

Lew Tołstoj.

KOŃ.

(Ciąg dalszy)

Naogół źrebięta ssą, niektóre tylko niewiadomo z jakiego powodu pomimo nawoływań matek biegną drobnym niezgrabnym truchtem w przeciwną stronę, jakby czegoś szukały, i raptem bez wyraźnej przyczyny zatrzymują się i rżą rozpaczliwie przeraźliwym głosem.

Niektóre znów leżą drapiąc się tylną nogą za uchem lub ucząc się szczypać trawę.

Dwie jeszcze źrebne klacze spacerują oddzielnie, stąpając ostrożnie i pasą się jeszcze. Widać, że ich stan wzbudza ogólny szacunek, bo nikt z młodszych nie śmie im przeszkadzać — a jeśli nawet który przysunie się w ich stronę — dość jednego ruchu ogona lub ucha, by zrozumiał całą niestosowność swego postępku.

Starsze źrebaki i klaczki udają powagę dorosłych: rzadko podskakują i nie zadają się z tak zwaną „wesołą paczką“, którą stanowią dwuletnie, trzechletnie i jeszcze jałowe kobyłki.

Paczka taka odznacza się niezwykłą wesołością — kwik, tętent, rżenie i parskanie rozlega się pośród niej bezustanku.

Chwilami skupiają się, zakładając jedna drugiej głowy na karki, obwąchują się i brykają — to znów, zadarłszy ogony, lekkim truchtem w kokieteryjnych lansadach defilują przed resztą koni.

Prawdziwą ślicznotką, a zarazem prowodyrem całej tej paczki była bura kobyłka, znana swawolnica.

Każdy jej wybryk powtarzały wszystkie towarzyszki; gdy ona biegła ciągnął za nią cały tłum dziewiczy.

Swawolnica dzisiejszego ranka była w niezwykle hulaszczym usposobieniu. Jeszcze przy pojeniu stada, wypłatawszy figla srokaczowi, popędziła po wodzie w dół rzeki.

Później, udając, że się czegoś spłoszyła, rzuciła się w bok i rwała w cwał przez pola, tak że parobczak musiał dosiąść konia, by ją zawrócić.

Potem popasłszy się trochę, zaczęła się tarzać i drażnić starsze konie; w końcu odbiła od matki małego źrebaka i zaczęła go pędzać, udając, że chce go ugryźć. Wystraszona matka przestała się paść; źrebak darł się jak opętany, tymczasem swawolnica nawet go nie ruszyła, chciała tylko w ten sposób wyprawić widowisko swym towarzyszkom, które z uznaniem przyglądały się jej figlom.

Po chwili, spostrzegłsy w oddali chłopską szkapę, która hen za rzeką wlokła po ugorze pług drewniany, zapragnęła zawrócić jej głowę: wyprężyła się dumnie, podniosła łeb, dreszcz przebiegł po jej ciele, i zarżała przeciągle, słodko i tkliwie, a w głosie jej z pewną dozą swawoli zmieszał się dziwny ton smutku, drgnęła w nim żądza, obietnica miłości i tęsknota za jej czarem. Zdawało się, że mówi: „Oto i derkacz w gęstych oczeretach, biegając z miejsca na miejsce, nawołuje namiętnie; kukułka i przepiórka nucą hymn miłości, kwiaty nawet ślą sobie nawzajem smugi pyłków wonnych — a ja, choć jestem młoda, pełna siły i piękna, dotychczas nietylko nie kosztowałam miłosnych rozkoszy, ale ani jeden kochanek nie widział mnie nigdy, nigdy“. I wymowne rżenie, młode i smutne, rozchodziło się po dolinie i polu — aż doszło do uszu chłopskiej szkapy.

Koń drgnął i zatrzymał się nagle. Chłop szturchnął go nogą, lecz ten stał jakby zaklęty czarem srebrnych tonów odległego głosu — aż zarżał sam. Chłop rozgniewany szarpnął za lice i tak dzielnie kopnął w brzuch swego rumaka, że ten nie mógł dokończyć rozpoczętego wołania i powlókł się dalej z uczuciem dziwnej słodyczy i smutku.

Jeżeli dźwięk jednego głosu mógł doprowadzić zapracowaną szkapę aż do zaniedbania swych obowiązków, cóżby się z nią stało, gdyby mogła zobaczyć jak wygląda ta piękna zalotnica, jak strzyże uszami, wciąga powietrze w rozdęte chrapy i gdzieś się rwie i drży całym swym młodym i pięknem ciałem.

Bura klacz nie miała zwyczaju zastanawiać się dłużej nad swemi wrażeniami, zaledwie więc zamarł ostatni odgłos chłopskiej szkapy, zarżała raz jeszcze z akcentem drwiny w głosie, spuściła głowę, pogrzebała nogą ziemię — i po chwili poszła się droczyć z srokatym wałachem.

Stary wałach był wiecznym kozłem ofiarnym szczęśliwej młodzieży, która mu dokuczała więcej niż ludzie, choć ani jednym ani drugim nie zamącił nigdy wody. Ludziom był potrzebny — za cóż jednak dręczyły go konie?

IV.

On był stary — one młode; on chudy — one zaś syte; był nudny — one zaś wesołe. Jednem słowem wałach dla nich zgoła był czymś obcym, intruzem, zupełnie odmienną istotą, nad którą się litować niepodobna, gdyż konie są zdolne do litości jedynie w stosunku do siebie, a czasem tylko i w stosunku do tych, w czyjej skórze bez trudu mogą siebie wyobrazić. Więc chociaż trudno było obwiniać srokatego wałacha o to, że jest stary, chudy i śmiesznej maści— w rozumieniu koni on był winiem, a racyę mają ci, po czyjej stronie jest siła, młodość i szczęście, ci, przed którymi cały świat leży otworem, którym od nadmiaru zdrowia drżą muskuły, a ogony dumnie wznoszą w górę.

Być może, że srokacz rozumiał ten sens świata i w cichości ducha poczuwał się do tej winy, iż przeżył już to co mu się należało, a teraz musi pokutować.

Wszelako i on był koniem, więc często ogarniało go uczucie krzywdy i oburzenia wobec prześladowań młodzieży, którą na końcu życia czekały koleje podobne jego losowi.

Jedną z przyczyn okrucieństwa koni była pycha arystokratyczna, gdyż każdy z nich wyprowadzał swój ród od znakomitej Śmietanki; srokacz zaś był niewiadomego pochodzenia, uchodził za przybłędę kupionego za 80 zł. trzy lata temu na jarmarku.

Otóż, gdy bura klacz, nibyto spacerując, podsunęła się pod sam nos wałacha i szturchnęła go zlekka, srokacz już wiedział, co o tem ma myśleć, więc, nie odmykając oczu, stulił uszy i wyszczerzył zęby. Klacz obróciła się zadem, udając, że chce wierzgnąć. Wałach otworzył oczy i odszedł w inną stronę, spać nie miał już ochoty, więc zaczął się paść. Tymczasem swawolnica w otoczeniu swych towarzyszek skierowała się znowu ku niemu. Wraz z nią zbliżyła się łysa dwuletnia klaczka, niezwykle ograniczona, która naśladowała ślepo wszystkie wybryki swawolnej przodownicy i, jak zwykle w takich razach bywa, wpadała w niesmaczną przesadę.

W postępowaniu burej znać było pewną finezyę: zbliżała się ona do wałacha niby wypadkiem, pod pozorem, że idzie we własnym interesie, przyczem nie patrzyła nawet na srokacza, tak, iż ten nie wiedział, czy ma się obrazić czy też nie, i oczywiście tkwił w tym niejaki komizm. Tak też urządziła się i w danym wypadku, gdy naraz idąca tuż za nią łysa, wysforowawszy się naprzód, grubjańsko cała piersią uderzyła wałacha. Srokacz wyszczerzył zęby, kwiknął i nadspodziewanie sprężystym skokiem, rzuciwszy się ku niej, ugryzł ją w udo.

Klacz wierzgnęła i całą siłą palnęła starego po wychudłych żebrach aż jęknął; spróbował jeszcze raz skoczyć, lecz się widocznie rozmyślił, gdyż westchnął głęboko i usunął się na bok.

Tymczasem cała młodzież przyjęła widocznie zuchwałe wystąpienie wałacha jako osobistą obrazę, gdyż resztę dnia nie dawała mu ani chwili spokoju, tak iż pastuch musiał kilkakrotnie uspakajać tabun, zachodząc w głowę, co się koniom dziś stało.

Wałach zaś czuł się tak bardzo pokrzywdzonym, że gdy nadszedł czas powrotu z pastwiska, sam podszedł do Fedzia i doznał pewnego ukojenia, gdy poczuł siodło i jeźdźca na sobie.

O czem myślał stary wałach, niosąc na grzbiecie starego Fedzia, czy oddawał się gorzkim refleksyom na temat dokuczliwej i okropnej młodzieży, czy też z właściwą starcom pogardliwą i skrytą dumą przebaczał swoim prześladowcom, nie wiadomo, gdyż przez całą drogę nie zdradzał ni czem przedmiotu swoich rozmyślań.

Akurat tego wieczora do pastucha zjechali kumowie w gościnę. Fedź, zauważywszy przed swą chatą wóz i konia przywiązanego do słupa, tak się spieszył do gości, że, nie zdejmując kulbaki, zostawił wałacha w zagrodzie i, poruczywszy rozsiodłanie parobkowi, popędził do domu.

Tymczasem, nie wiadomo, czy z powodu tego, iż „podrzutek bez ojca i matki, kupiony na jarmarku, srokacz przybłęda“, ośmielając się wyrządzić obelgę łysej prawnuczce

Śmietanki, obraził kastowe uczucia całego stada, czy też dla tego, iż wałach w wysokiej kulbace wydawał się koniom jakiemś fantastycznem zjawiskiem — dość, że na toku zaczęło się stawać coś niezwykłego: wszystkie konie i młode i stare z wyszczerzonemi zębami jęły uganiać się za wałachem i pędzić go po całej zagrodzie; co chwila słychać było głuchy trzask kopyt o chude żebra i ciężkie stękanie.

Wkrótce wałach, doprowadzony do ostateczności, nie mogąc się ratować od razów ucieczką, zatrzymał się na środku dziedzińca z wyrazem wstrętnej starczej bezradnej wściekłości — a w końcu rozpaczy. Stulił uszy, i nagle zaszło coś tak niespodziewanego, że wszystkie konie uspokoiły się odrazu. Najstarsza z całej stadniny klacz Zulema zbliżyła się do wałacha, dotknęła go nozdrzami i westchnęła głęboko, z kolei z piersi wałacha wydarło się również westchnienie.....

. . . .

(Przekład G. Daniłowskiego). (C. d. n.)

MARCEL PREVOST.

LISTY KOBIECE.

(Z FRANCUSKIEGO ORYGINAŁU).

II.

Panna Cecylja Leritier do siostry Albanji w klasztorze Panien Urszulanek w Chatellerault.

Paryż, 27 lutego.

„Droga siostro Albanjo!“ Ile niespodzianek w mem życiu od wczoraj rana — od chwili, kiedy mnie pani odprowadziła na stacyę Chatellerault; wsadziła do damskiego przedziału, ucałowała i pożegnała! Niech pani sobie wyobrazi, że jestem sama jedna w Paryżu, w tym dużym, smutnym pałacu przy ulicy Vaneau!... sama jedna, że służbą tylko, ma się rozumieć. Ale nie ma ani ojca, ani mamy, ani cioci Łucyi. Jak się zdaje, śnieżna zamieć zatrzymała pociągi od strony Annecy na drodze, którą powracali z Włoch. Dwie szczegółowe depesze oznajmiły mi to i upewniły. Będę więc bez nich znajdowała się na ślubie mej kuzynki d'Herbly, na który mieli powrócić do Paryża jednocześnie ze mną: pierwsza niespodzianka. Ale jeszcze mniej spodziewana niespodzianka to moja wczorajsza wieczorna przygoda... Czy mam ją pani opowiedzieć? Tak, jesteś najlepszą, najwyrozumialszą z matek... Nie potępisz mnie zbytnio, jeżeli zrobiłam co złego, o czem sama nie wiem.

Przypomina pani sobie, droga siostro, że w chwili, gdy wsiadałam do damskiego przedziału, znajdowała się tam jedna tylko osoba: jasna blondynka, bardzo skromna, ale bardzo elegancka: suknia koloru stalowego, żakiet astrachański, mała czapeczka popielata, gęsta woalka... Zdawało się, że drzemie w kącie, trzymając końcami palców małą książeczkę w żółtą skórę oprawną: zadecydowaliśmy, że musi to być książka do nabożeństwa i pamiętam, jak mi pani powiedziała:

— Będziesz jechała z pobożną osobą... Zrób, jak ona, moje dziecko, wyjm z walizki swą książkę do nabożeństwa... Podróż prędko przechodzi w modlitwie.

Do Tours byłyśmy tylko we dwie, ja i moja nieznajoma, która wciąż spała. W Tours wsiadła jakaś dama w starszym wieku, z koszykiem w ręku; ostre głosy wychodziły z tego koszyka, który zawierał białą papugę. Nieznajoma obudziła się i obejrzała dokoła... Zamieniłyśmy dyskretny uśmiech ze sobą. Podniesła zupełnie woalkę: przekonałam się, że była bardzo ładna, nieco jednak blada, w moim guście, z oczami nadzwyczaj błyszczącemi. Zaczęła czytać swą książeczkę: na okładce spostrzegłam hrabioską koronę.

Gdy stara pani z papugą wysiadła w Blois, hrabina (tak ją będę nazywała, nie znając nazwiska) natychmiast złożyła książkę i zaczęła ze mną rozmowę. Cóż mi powiedziała? Nic nadzwyczajnego. Gawędziłyśmy o pogodzie, o szybkości pociągu, o pani z papugą. Byłam zadowolona, że po godzinie musowego milczenia, mogłam rozwiązać nieco usta. To panią nie zadziwi, droga siostro Albanjo, gdyż nieraz wyrzucasz mi moje gadulstwo!... Może mnie sobie pani wystawić w drodze z Chatellerault do Paryża, nie mówiącą ani słowa? Umarłabym z pewnością.

Po upływie godziny ja i moja towarzyszka podróży byłyśmy najlepszemi przyjaciółkami. Powiedziała mi, że mieszka w Paryżu trzy miesiące do roku, od kwietnia do derby wyścigowego. Zimę spędza w Nizzy, lato na wsi nad morzem. Wymieniłam jej swoje nazwisko, powiedziałam, że kuzynka moja d'Herbly ma iść za mąż, że mam być jej druchną, że w Paryżu zastanę rodziców, którzy zapewne powrócili już tam od wczoraj.

Hrabina zdawała się żywo interesować tem wszystkiem, rozpytywała mnie o klasztor, czy dużo mam przyjaciółek, czy są ładne, jak są sypialnie urządzone, czy starsze i młodsze sypiały razem: wydało mi się, że jest zarządzającą pensyą, tak ją szczegóły obchodziły... Jednocześnie wpatrywała mi się w oczy tak mocno, że przestraszało mnie to nieco. Ale naraz niewiem co za słowo, rzucone przezemnie rozśmieszyło ją do rozpuku; pochyliła się ku mnie i pocałowała tak czule, iż się przekonałam, że była to dobra osoba.

Wysiadłyśmy w Aubrays dla zjedzenia kolacyi. Byłam szczęśliwą, że miałam towarzyszkę, która weszła ze mną do bufetu, usiadła przy mnie, mówiła do kelnerów: sama nigdybym się nie odważyła, chociaż bardzo byłam głodna. Nie dała mi za nic płacić. Gdy wróciłyśmy do wagonu, posadziła mnie przy sobie. Przycisnęłyśmy się mocno jedna do drugiej, by nam cieplej było, trzymając się pod ręce. Kilka osób wsiadło w Aubrays do naszego przedziału; nie mogłyśmy tak swobodnie rozmawiać, jak przedtem... Zresztą spać mi się chciało; zasnęłam z głową opartą na ramieniu hrabiny.

Obudziłam się dopiero w Paryżu. Może sobie pani łatwo wystawić moje zdziwienie i zmartwienie, gdy na peronie nie znalazłam ani ojca, ani mamy!... Wreszcie spostrzegłam Wiktora, naszego rządcę, dającego mi rozpaczliwe znaki przez kraty sal poczekalni. Podał mi depeszę, zwiastującą wypadek w Annecy. Co miałam począć?... Moja towarzyszka natychmiast zadecydowała:

— Weź pan bagaże panienki, rzekła do Wiktora tonem rozkazującym. Zabieram ją do siebie na obiad i wieczorem odwiozę do domu.

Spuściłam oczy. Wiktor przystał po chwili wahania się. Poszłam za hrabiną: słyszałam, jak dała adres dorożkarzowi, przy wsiadaniu:

— „Do Voisin!“ i w kwandrans potem znalazłyśmy się w małym, kwadratowym saloniku, jasno oświetlonym, ozdobionym lustrami i dywanami; siedziałam przy nakrytym stole, obok hrabiny, dającej rozkazy kelnerowi.

Niech pani nie robi dużych oczu na mnie, droga siostro Albanjo... W tej chwili zdawało mi się, że źle uczyniłam, przyjmując z taką łatwością zaproszenie nieznajomej. Zdjęła czapeczkę i żakiet astrachański: spostrzegłam, że była ubraną w rodzaj stanika z kamizelką, krawat męzki, kołnierzyk; nadto jasne swe włosy nosiła krótko ostrzyżone i ufryzowane; wygląd miały dziwny, nie kobiecy, ale pomimo to bardzo elegancki i dystyngowany. Co do mnie lustro odbijało moją postać młodej pensyonarki, nieco niezgrabnej w czarnej sukni i czarnym staniku: a co za suknia, co za gors! Nie dla tego, żebym miała źle mówić o szwaczce klasztornej, ale istotnie nie należałoby nas wypuszczać na świat w takich strojach... Hrabina zauważyła mój smutek; zgadła zapewne przyczynę mego zmartwienia, gdyż pociągnęła mnie w swoje objęcia, powiedziała mi, że jestem ładna, że mam cudne oczy, zachwy-

cające usta i najpiękniejsze włosy na świecie!... Wreszcie była tak uprzejmą, tak ujmującą, żem się zarumieniła za moje skwaszenie, wstrzymała łzy, cisnące się do oczu i nareszcie wzięłam się z apetytem do jedzenia.

Muszę się przyznać, że nie dobrze odtąd pamiętam, co się ze mną działo... Byłoż to zdenerwowanie, spowodowane dłuższą podróżą? Byłoż to skutkiem obfitszego, niż w klasztorze obiadu, — szampana, zastępującego zwykłe lekkie wino?... Nie wiem. To tylko pewna, że byłam nadzwyczaj wesołą, gadatliwą, jak sroka; całowałam hrabinę, jakbym ją od lat dziesięciu znała... Musiałam popełnić tysiące przeróżnych głupstw, których nie pamiętam. Skarć swoją córkę, siostro Albanjo: upoiła się trochę wczoraj wieczór...

Hrabina przeciwnie wydawała się coraz więcej zafrasowaną w miarę zbliżania się obiadu ku końcowi... Przyglądała mi się, słuchała co mówiłam. Zapewne niepokoiło ją to, że mała, spokojna pensyonarka przechodziła w stopniowy szał.

Istotnie przy deserze, gdy odprawiła kelnera, mówiąc mu: — Pozostaw nas same! — zamknęła drzwi na zasuwkę i rzekła do mnie:

— Jesteś czerwoną, drogie dziecko... Czy byś się czuła słabą?...

Przyznałam, że byłam niecu podbudzoną.

— Ulżyj sobie w ubraniu, dodała, jesteśmy same, nikt nam nie przeszkodzi. I siadając przy mnie, zacna ta kobieta wzięła się do odpinania mego stanika; potem zdjęła mi gorset i to w tak grzeczny sposób, z pieszczotami prawie: zupełnie jak siostra miłosierdzia... Pozbawiona krępującej toalety uczułam się lepiej; przytulając się do piersi mojej towarzyszki, szepnęłam:

— Jaka pani dobra!

Bawiła ją moja koszula klasztorna, więc przyglądając jej się, rzekła:

— Jak można dawać dziewczętom koszule tak grube i tak wysoko zapięto!... Nie zniosłabym nigdy podobnej na ciele...

Gdy palcami probowała grubość płótna, natrafiła na sznurek, przy którym wisiały moje wota i medaliki. Znalazła oba medaliki, które mi pani ofiarowała, oraz skaplerz niebieski...

Potrzymała je przez chwilę w rękach, zdawała się być zamyśloną. Wreszcie zapytała mnie:

— Nigdy ich nie zdejmujesz?

Nigdy, odparłam... Ślubowałam, że ich nigdy nie zdejmę.

— Sluby te czynią się w klasztorze, rzekła... A potem nastaje dzień, kiedy się nie ma więcej siły... odwagi... Ja również nosiłam szkaplerz niebieski...

I dodała głosem zupełnie zmienionym:

— Nawet chciałabym go jeszcze nosić.

— Przez dobrą minutę pozostawałyśmy w milczeniu. Nagle zerwała się.

— Ubieraj się! — rzekła mi szorstko.

— Zdziwiona, przywdziałam gorset, zapięłam stanik, włożyłam kapelusz i płaszczyk. Przez ten czas moja przyjaciółka, odwrócona do mnie plecami, stała przy oknie z czołem opartem o szybę. Odeszła od okna, ubrała się, zadrzwoniła na służącego, zapłaciła rachunek... Wszystko to odbyło się w milczeniu.

Bałam się trochę tej ciszy. Wyszłyśmy z restauracyi i wsiadłyśmy do dorożki, stojącej przed bramą. Nie poczęła we mnie wstępować otucha, aż mi hrabina powiedziała:

— Daj swój adres fiakrowi.

Przez drogę nie odezwała się wcale. Pomimo chłodu otworzyła okno i wysunęła swą twarz na zimne powietrze. Ja siedziałam bez poruszenia w kącie, zadając sobie w duchu pytanie: „Poco się ona gniewa? Co ja jej zrobiłam?“

Gdyśmy stanęły na ulicy Vaneau, hrabina wysiadła ze mną, zadzwoniła i oddała mnie do rąk Wiktorowi: który mnie z niecierpliwością oczekiwał. Zanim odjechała, pocałowała mnie z lekka w policzek i rzekła:

— Drogie dziecko, noś zawsze niebieski szkaplerz: to jest dobre. Powiedz tylko rodzicom, aby ci nie pozwalali podróżować samej. W wagonie zawiera się czasami niebezpieczne znajomości.

Przy tych słowach odeszła, siadła do dorożki i odjechała, zostawiając mnie w zdumieniu. Pomimo zmęczenia całą noc prawie nie spałam, tak mnie myśli o tej przygodzie wzburzyły. Dziś czuję się spokojniejszą. Badam swe sumienie; zdaje mi się, że nic złego nie popełniłam, a jednak czuję jakby głuche wyrzuty! I oto dla czego chciałam się natychmiast i z całą szczerością wyspowiadać przed moją ukochaną siostrą Albanią, która mnie objaśni i powie, co mam sądzić o tej pani i czy bardzo jestem winna, żem była z nią na obiedzie.

Ach! jeden dodatek, o którym byłabym zapomniała! Książeczka w żółtej skórze jest istotnie pobożną książką. Gdy hrabina zdejmowała w restauracyi żakiet, upuściła ją na podłogę; podnosząc ją, spojrzałam na tytuł. Musi to być niezawodnie żywot którego z braciszków klasztornych. Nazywa się: „Furtyan Karmelitów“, zdaje mi się, czy też „Furtyan Kordylierów“.

(Przedkład N.).

Sprawy kobiece.

Artystki modniarki.

W magazynach modystek paryskich tłoczą się teraz formalnie właściciele wielkich magazynów kapeluszy. Jeden z kupców postawił to bardzo naturalne pytanie, skąd modystki paryskie biorą ciągle nowe modele. Powiedziano mu, że pewne wielkie paryskie magazyny poangażowały do ubierania kapeluszy tylko prawdziwe artystki, występujące jako takie i jako takie traktowane. Twórczynie modelowych kapeluszy opłacane są na wagę złota. Zarabiają one nieraz więcej niż ministrowie. Nie zawsze są czynne w magazynach, jak im się podoba, siedzą sobie bezczynnie w domu. Podróżują często, przepędzają tak letnie jak zimowe miesiące w eleganckich miejscach kąpielowych, a widzieć je można w Paryżu zawsze tam, gdzie się zgromadza wielki świat. Gdy je czasami w interesie opuści „duch twórczy“, podają im szampana, aby pobudzić ich fantazyę. Nerwowość i drażliwość wybaczane im są jak każdej artystce.

Na swoje dzieło patrzy się, jak malarz na swój obraz. Jeżeli cena kapelusza, którego piękność polega tylko na wstążce, związanej w szczególny sposób, wydaje się za drogą, ponieważ zużyto do ubrania bardzo mało materyału, można być przygotowanym na zapytanie:

Czy pani malarzowi płaci wydatki za farbę i płótno, czy też płaci pani za obraz, jako za dzieło sztuki?

Zajmującem jest także, iż taka artystka kapeluszowa otrzymuje wskazówki od klienteli. Większość pań, przeważnie aktorek, przychodzi z gotowym opisem kapelusza. Często także wygląd zewnętrzny, cera twarzy, uczesanie włosów dodaje paryskiej modystce fantazyi. Większa część modelowych kapeluszy paryskich idzie do Berlina, gdyż stąd rozchodzą się one niemal po całym świecie. Obecnie jest w modzie kapelusz płaski, bogato przybrany strusiemi piórami. Zawdzięcza on swą egzystencyę obecnemu modnemu sposobowi czesania włosów.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu J. Klim. w Krakowie. Nadesłane artykuły pomieszczone nie będą.

WIADOMOŚCI ROZMAITE

Bohaterka chińska.

W październiku ubiegłego roku zamieszkało w San Francisco z zamiarem jaknajdokładniejszego zaznajomienia się z cywilizacyą „białych“ dziewczę chińskie Si-king-king. Liczy ona lat 18 jest córką bogatego kupca w Kantonie. Od wczesnego dzieciństwa odznaczała się wielkiemi zdolnościami, umysłem żywym i duszą wrażliwą. Wypadki r. 1900 żywo oddziałały na młodziutki umysł Si-king-king, tak, jak na umysły chińskiej młodzieży wogóle. Potworzyły się liczne patryotyczne towarzystwa młodzieży, na zebraniach mówiono wiele o polityce, kończyło się jednak tylko na protestach przeciwko zaborczej polityce Europejczyków. I oto na jednym z zebrań takich w Katonie zjawiła się pewnego razu Si-king-king, wówczas dziecko jeszcze prawie. Wskoczyła szybko na krzesło i śmiało poprosiła o głos. Można sobie wyobrazić zdziwienie, jakie ten niebywały dotąd postępek wywołał wśród obecnych. Kobieta w Chinach skazana jest na działalność w ciasnem kółku rodzinnem; o tem, by wystąpić chciała i śmiała na zebraniu męskiem, nikt nawet nie marzył. Ufna jednak w własne siły i rozumna Si-king-king, nie zmieszała się ani na chwilę i zaczęła swą mowę. Z razu mówiła cicho, potem coraz głośniej i z coraz większym zapałem, który porywał słuchaczy. Przekonywała zebranych, że zwalczać powinni z całych sił dwóch wrogów: zewnętrznego, tj. znienawidzonych i chytrych cudzoziemców i wewnętrznego, tj. chińską ospałość, opieszałość i uprzedzenia.

— Czyż możecie pozwolić — wołała z zapałem — ażeby nam odbierano całe prowincye, dziedzictwo przodków naszych? Raczej umrzeć, aniżeli dawać piędź za piędzią ziemie nasze wilkom, które chcą nas pożreć.

Bujna wyobraźnia Wschodu otoczyła wkrótce imię Si-king-king mnóstwem legend poetyckich, a ludność widziała w niej ideał patryotyzmu wojującego, usposobienie idei zelżonej przez cudzoziemców ojczyzny. Si-king-king chciała najpierw przygotować się odpowiednio do zadania, które podjęła. Wyjechała do Ameryki uczyć się po europejsku. Ubiera się po europejsku, obserwuje obyczaje europejskie, a wyuczywszy się języka angielskiego, uczęszcza pilnie do szkół amerykańskich. Nie jest piękną, a tylko pełne wyrazy oczu jej uderzają blaskiem niezwykłym. Współpracownik paryskiego „Eclair“ miał sposobność rozmawiać o bohaterce chińskiej z posłem chińskim w Paryżu. Dyplomata nie zaprzeczał, że Si-king-king rzeczywiście istnieje i że cieszy się w „państwie niebieskiem“ zaszczytnym przydomkiem „wschodniej Joanny d'Arc“. Równocześnie oświadczył, że emancypacya kobiet przyjmować się zaczyna w Chinach coraz bardziej, zwłaszcza od chwili, gdy na czele ruchu tego stanęła cesarzowa wdowa. Wydany przez nią niedawno zakaz znanego wszystkim szpecenia nóg kobiecych, jest w kraju tak zachowawczym, jak Chiny, wypadkiem pierwszorzędnej wagi.

Można mieć nadzieję, że na drodze zbliżenia się Europejczyków kobiety chińskie przodować teraz będą mężczyznom.

Róża.

In Aepfel muss man beissen,
Auf Rosen kann man dichten.

Ale znaczenie róży nie kończy się jedynie na poezyi. W historyi znaczenie róży było również nie byle jakie. U Rzymian róża była uczestniczką i główną ozdobą wszystkich tryumfów, wszystkich wielkich uczt, zabaw i uroczystości. A któż nie czytał w „Quo Vadis“ pięknej śmierci Petroniusza z Eunice, wśród róż i wykwintnej biesiady? Rozrzutność rzymska wysilała się, aby przy jednej uczcie niszczyć jak najwięcej róż. Nero doszedł raz do bajecznej sumy 200.000 talarów celem udekorowauia różami jednej tylko uczty. Heliogabal zarządził przy takiej okazyi tak wielki deszcz róż, że część gości podusiła się, nie mogąc wyplątać się z masy kwiatów.

Verus sypiał na łożach z listków róż, z których oczywiście wprzódy wybrano starannie kolce. W Rzymie przyrządzano też mnóstwo potraw różanych w ten sposób, że dodawano do nieh jakichś ekstraktów z tego królewskiego kwiatu. Wino różane było bardzo rozpowszechnione. Kąpano się w takiem winie niejednokrotnie. Heliogabal kazał raz ogromny staw napełnić takiem winem i wykąpawszy się w nim, ofiarował go ludowi.

W historyi Anglii róża grała również wielką rolę, ale z innego powodu. W XV. wieku wrzała tam bowiem straszna wojna pomiędzy domami Yorków i Lankastrów, z których każdy jako godło obrał sobie różę białą — i czerwoną. Jako klejnot nosiło się tę różę na hełmie.

W epopei napoleońskiej również odegrała róża wielką rolę. Było to w Tylży, po strasznym pogromie Prus. Wtedy zjawiła się u potężnego zdobywcy królowa pruska Ludwika i starała się wszelkimi sposobami ułagodzić zwycięzcę. Napoleon przyjął ją z wielkim szacunkiem, ale nie mógł się powstrzymać od uwagi: „Jakżeście jednak mogli odważyć się zacząć wojnę ze mną.“ — „Sława Fryderyka Wielkiego upoważniła nas do tego,“ odpowiedziała królowa. Jak wiadomo, udało się w końcu bardzo pięknej Ludwice przekonać zwycięzcę, że nie wypada być dla kobiet tak zupełnie bezwzględnym, choćby to miało kosztować całe państwo. Przedtem jednak zdarzył się następujący epizod: Przy pożegnaniu raz jeszcze starała się królowa zmiękczyć serce bohatera. Kiedy Napoleon podał jej ze stojącej na stole wazy kwiatowej różę, królowa uważając jego uprzejmość za dobry znak, zapytała znacząco: „Mais avec Magdegourg?„ (Ale razem z Magdeburgiem?) na co władca połowy Europy odparł chłodno: „Muszę zwrócić uwagę waszej królewskiej mości, że to tylko ja ofiaruję i tylko pani winna mój dar przyjąć“.

Biura Redakcyi i Administracyi „Tygodnika Polskiego“ przeniesiono z ul. Podlewskiego na ul. Koralnicką 2 (róg Zimorowicza).

Wydawca i Redaktor: Feliks Mrawinczyc. Za redakcyę odpowiedzialny: Jerzy Kluczkowski.
Wytłoczono w drukarni Słowa Polskiego we Lwowie, pod zarządem Józefa Ziembińskiego.

Wytłoczono w Drukarni Słowa Polskiego pod zarządem J. Ziembińskiego.

TYGODNIK POLSKI

PISMO POŚWIĘCONE POLITYCE NARODOWEJ, ŻYCIU SPOŁECZNEMU I EKONOMICZNEMU, SZTUCE I LITERATURZE

WYCHODZI WE LWOWIE W KAŻDĄ SOBOTĘ.

PRZEDPŁATA WYNOSI: ĆWIEĆROCZNIE 5 K., PÓŁROCZNIE 9 K., ROCZNIE 17 K. — Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ ĆWIERĆROCZNIE 6 KOR., PÓŁROCZNIE 10 KORON, ROCZNIE 19 KORON.

NUMER POJEDYŃCZY 60 HALERZY.

TYGODNIK POLSKI

PISMO POŚWIĘCONE POLITYCE NARODOWEJ, ŻYCIU SPOŁECZNEMU I EKONOMICZNEMU, SZTUCE I LITERATURZE

WYCHODZI WE LWOWIE W KAŻDĄ SOBOTĘ.

PRZEDPŁATA WYNOSI: ĆWIEĆROCZNIE 5 K., PÓŁROCZNIE 9 K., ROCZNIE 17 K. — Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ ĆWIERĆROCZNIE 6 KOR., PÓŁROCZNIE 10 KORON, ROCZNIE 19 KORON.

NUMER POJEDYŃCZY 60 HALERZY.